1901

WILKOŃSKI

PISMA

1081

№ 5-541

1801

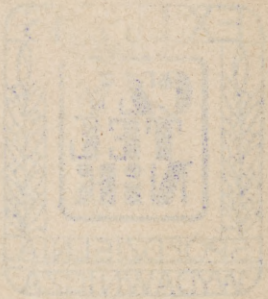

EX LIBRIS
CZYTELNIK
SPÓŁDZIELNIA
WYDAWNICZA

PISMA

AUGUSTA WILKOŃSKIEGO.

Tom IV, V i VI.

WYDANIE ZUPEŁNE

WYDAWCA
ADAM KACZURBA.

UJK
Biblioteka
Uniwersytecka
w Kielcach

474991

W uśmiechu każdym zaparłem siebie,
Zaparłem gorycz, com ją wciąż pił;
— Raz tylko jeden na mojém niebie
Promyk radości jasno się lśnił.

5685

PISMA

AUGUSTA WILKOŃSKIEGO

Tom. IV.

ЧИТАЛЬНЯ
ВЪ СКЕРНЕВИЦАХЪ
CZYTELNIA
W SKIERNIEWICACH

WYDAWCA:
ADAM KACZURBA W KRAKOWIE.

KRAKÓW.
NAKŁADEM WYDAWNICTWA „BIBLIOTEKI ARCYDZIEŁ".
1888.

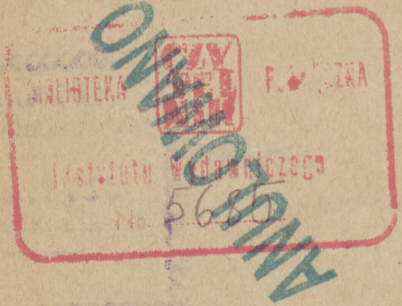

W Krakowie. — Czcionkami drukarni J. Fischera. — 1888.

WSPOMNIENIE.

W Wielko-Polsce, na pograniczu Szląska, pomiędzy Lesznem a Wschową, w pięknem i obszernem siole, w Kąkolewie, roku 1805 dnia 28 Sierpnia o godzinie 2-éj z południa pierwsze dnia światło ujrzałem.

«Kiedym paniczą (słowa staréj Małgorzaty) po wykąpaniu w deszczowéj [1]) wodzie na drugą stronę dworca do jegomościnego zaniosła pokoju, jegomość spytał mnie szybko: «syn, czy córka»? Chłopiec, proszę wielmożnego pana, odrzekłam z pokłonem. Jegomość ujął swojego synka w obie ręce, pocałował w twarzyczkę i wymówił. «A więc już trzeci. Bogu niech będą dzięki»! i oddał stojącemu obok lekarzowi z Leszna i spytał: «a co? zdrów»? Pan Kąs, bo takie mu było nazwanie, zmierzył panicza swojemi wielkiemi oczyma, popatrzył się chwilkę i rzekł do księdza francuskiego, co go państwo nasi *Labuś* nazywali: *„Trzeba ochrzcić tego dziecka, bo ono nie może żyć ani 24 godzin, ma bardzo wiele wody w głowie“*. Na te słowa jam struchlała, jegomość ojciec panicza widocznie się rozgniewał i sierdzisto do doktora zawołał: «Gdzież u licha tak nagle tę wodę zobaczyłeś, chyba w twojéj

[1]) A więc nie prawda, co mi wielu ludzi często powtarza, że jestem w gorącéj kąpany wodzie.

głowie woda zamąciła ci oczy; dziecko zdrowe, oczęta mu się śmieją»... Tedy pan doktór rzekł: *„Niech fielmożny pan będzie uważał, jak jego to ogromna głufka, to nie ma żadnéj proporcyi do zdrowego główka“*, — poczém i ksiądz Łabuś zaczął mówić po francusku a jegomość, odebrawszy dziecko od księdza, niby mu się na płacz zbierało, znów pocałował panicza kilka razy i, oddając do moich rąk, przykazał, żeby tego nie gadać przed panią, com słyszała. Ja téż otuliwszy dziecko w poduszeczkę odeszłam. Co oni tam mówili potém, nie wiem; ale po krótkiéj chwili przyszedł jegomość do naszego pokoju i, pochlebiwszy jéjmości, spytał, czy doktor może wielmożną panią odwiedzić? a otrzymawszy pozwolenie, przywołał pana Kąsa; i gdy on doktor rozmawiał po cichu z wielmożną panią, jegomość skinął na mnie i pokazał dziecko w kołysce; jam tedy zrozumiała, o co idzie, wzięłam panicza na poduszkę i wyniosłam za jegomością na drugą stronę, a już tam w modrym pokoju czekał ksiądz proboszcz i sołtys Mateusz. Jegomość rzekł tedy do mnie żałośnie: «Małgorzato, proszę was, abyście z Mateuszem trzymali mojego syna do chrztu św.» — a ja na to: «A cóż wielmożna pani powie, kiedy to pan jenerał z panią jenerałową trzymać mieli»? a jegomość rzekł: «Jak pani będzie zdrowsza, to ja już sam opowiem». Z jegomością nie było długiego sprzeczania, oddałam tymczasem dziecko do rąk Mateusza a sama chyżo pobiegłam, aby się jakoś na prędce w niedzielne

szmaty przyodziać i gdym powróciła, już wszyscy szli do kościoła, bo chociaż obydwaj księża pozwalali, jegomość niechciał chrztu w pokoju. Dogoniłam ich przy Jędrzejowém domostwie, weszliśwa do świeżo pobielonego kościoła i ledwośmy przyszli, zaraz się zaczął chrzest św. — Ksiądz proboszcz zapytał: «jak mu będzie na imię»? jegomość obecny wszystkiemu rzekł: «ten patron, który go na świat przyprowadził, św. Augustyn, niechaj go przez krótkie czy przez długie dni życia strzeże», — a ja poczęłam płakać; dopiero jak ksiądz proboszcz zapytał nad uchem panicza: «Czego chcesz od kościoła Bożego»? krzyknęłam za Mateuszem: «Wiary»! a paniczek oczki otworzył i niby się wesoło uśmiechnął; i potém odbył się chrzest św. w całości. Byłabym zabaczyła, jegomość żądał, aby ksiądz proboszcz dał paniczowi jeszcze jedno imię, Tadeusz, ale ksiądz Labuś koszlawie po polsku powiedział jakiś wyraz, który pono znaczył «zapóźno»; a potém dodał: «Jeden patron będzie go dosyć pilnował» i skończył się chrzest św. Jegomość rzucił na srebrną tackę trzy czerwoniusieńkie dukaty a gdyśmy wyszli z kościoła, odliczył z jedwabnéj sakiewki 12 saskich talarów, takich, co to je brali po 8 złp., w jednę rękę, i znów 12 talarów saskich w drugą rękę, podając Mateuszowi i mnie, rzekł: «Kupcie sobie w poniedziałek po jednéj jałówce na jarmarku w Osiecznie na pamiątkę, żeście mi syna do chrztu św. podawali». Ja już miałam sięgnąć, ale mnie Mateusz zawsty-

dził, bo skłoniwszy się nizko, rzekł: «Toćże panie za chrześciański uczynek nie godzi się brać nagrody; niech jeno Bóg wszechmogący panicza zdrowo uchowa, a jak panicz podrośnie, niechaj będzie sprawiedliwy i litościw nad nami», — a gdy ja toż samo prawie co do słowa powtórzyłam, jegomość schował pieniądze do kieszeni, ścisnął rękę Mateuszowi i tak samo mnie uczynił i rzekł: «Przepraszam was, żem chciał nagradzać pieniądzmi to, co się tylko sercem nagradzać powinno». — Za temi słowy poprosił wcale grzecznie Mateusza do dworu na poczęstne, bo mnie tam prosić nie trza było, bom ja we dworze służyła i niosłam panicza ku pokojom».

Dalszych opowiadań Małgorzaty nie przytaczam, bo bardzo długie; raczéj pospieszę do tego miejsca, z którego poniższą powieść zaczynać należało.

W roku 1824 we wsi Czerlinie na jednym z darniowych pagórków, ze strzelbą na ramieniu, z księgą w ręku, patrzyłem się wokoło na obszerny widnokrąg, po którym miasteczka Kcynia, Gołańcz, Wągrowiec i Łekno, dziewięć poblizkich i odległych wiosek, zielonolistne lasy, skoszone łąki, obszary żyta, pszenicy, jęczmienia, owsa i tatarki!... że ja téż nic romantycznie pisać nie umiem!... Tatarka! zkąd mi się tatarka pod pióro wsunęła! Eh! zacznę inaczéj.

Było to 2 sierpnia 1824 r... słońce na złotym rydwanie wytoczyło się z poza Kcyni pomalusieńku i bardzo ładnie świeciło; jam usiadł na kamieniu

i zacząłem czytać po raz dziesiąty pisma Godebskiego, bo podleśny Strzałkowski jeszcze z Oleszna z psami nie powrócił. Zagłębiony w rodowych uczuciach wieszcza żołnierza, przeniosłem się całą myślą duszy mojéj na pole zwycięstw i chwały, gdy na raz zatętniło mi w uszach; oglądam się, patrzę, aliści to Maciuś, ogrodnik z Lęgniszewa, na siwym jedzie wałachu.

— Cóż to za pilny interes, kiedy aż ciebie na konia wsadzili?

— Pani mnie przysyła, prosząc aby pan dzisiaj nie polował i żeby pan z państwem pojechał do kościoła.

— Dzisiaj do kościoła?...

— Odpust jest w Gołańczy, *Porcyunkuli.*

Spojrzałem się na strzelbę i na knieję, żal mi było odstąpić zamiaru, bo Strzałkowski widział wczoraj sarny; — ale życzenie rodziców uważałem zawsze jako rozkaz najwyższy, przeto przydłużywszy strzemion, bo Maciuś miał krótsze nogi odemnie, dosiadłem siwego i ulubionym kłusem, zostawiając Maciusia z wiadomością dla Strzałkowskiego, ruszyłem do Lęgniszewa.

Ukochany mój ojciec w upudrowanéj peruce, w świątecznem ubraniu, już od półgodziny czekał na jejmość, to jest na najdroższą matkę moję, która jeszcze gospodarskie klucznicy wydawała zlecenia; zielony kocz *per modum bomby,* 30 lat trwałéj usługi liczący, czerwonym safianem wybity,

stał przed oknami a czwórka gniadych koni swojego chowu, w niedzielne półszorki zaprzężona, małemi strzygła uszkami i z dozwoloną przez starego Jana swawolą wolne od podkowy kopyta po gładkich strugała kamyczkach. Gdym wszedł do pokoju, przywitał mnie ojciec temi wyrazy: «kto w święto poluje, djabłu usługuje; ubieraj się waść; abym znów na waścia nie czekał». Ucałowawszy rękę kochanego ojca, poskoczyłem do mojéj komnatki i przed upływem 5-ciu minut już z rodzicami jechałem do Gołańczy.

Zaraz za wsią pobożna matka moja zaczęła godzinki; ja z ojcem głośno odpowiadając, czułem w tem rzetelną roskosz, bo równie z rodzicami Bogu oddawana chwała podwójnie religijny ma urok, nie pojętą napełnia słodyczą, stokroć milszą od wszystkich uciech świata i zostawia nam najdroższą z życia pamiątkę. Dwadzieścia lat przedziela mnie od owéj chwili a jeszcze dźwięk każdego wyrazu tych godzinek błogiem uczuciem zalega w piersi i ten dźwięk nie opuści mnie do grobu, bo z duszy rodziców do duszy syna doleciał.

Bukowy las był granicą, w któréj godzinki jeśli nie zachodziła nadspodziewana przerwa, zwykle ukończonemi były, co téż i tym razem tak się stało, a ojciec mój zażywszy tabaki, spytał mnie, czym uważał, że czerlińscy parobcy, których my omijali, szli jakoś z gęstą miną i dodał: «bodajbym się pomylił, ale mi się zdaje, że oni dzisiaj

mają coś na celu, bo i średniacy [1]) szli z kijami świeżo uciętemi».

— Nasi Czerlińscy zawsze mają gęstą minę, — odrzekłem z zadowoleniem.

— Kto wie, czy oni się nie zmówili z Morakowianami na Chawłodniaków, bo to już kilkanaście lat, jak Moraków z Chawłodnem żyje w nieprzyjaźni. Upomnij też Czajkę, jak przyjedziemy do Gołańczy, żeby przykazał naszym ludziom, aby

---

[1]) W Poznańskiem nazywano podówczas średniakami takich wyrostków, którzy służyli na wsi u gospodarzy w znaczeniu niższém od parobka z przysiewku a wyższém od chłopców, pasących bydło i konie. Średniak chodził w pole z sierpem, parobek z kosą; średniak mógł już bić cepą! sieczkę rznął, ale na siew nie orał, pracował tylko za jadło i za przyodziewek. Powierzchowna zaś różnica była ta, że parobek, idąc do kościoła, miał na sobie dwie długie, bardzo gęsto od stanu fałdowane sukmany, siwą czapkę, albo okrągły kapelusz, suto w pawie pióra strojony, — w ręku niósł lagę, przez opaloną na niéj słomę oczerwienioną, olejem dla połysku wysmarowaną, w cynę u góry oprawną, w ołów i żelazną skówkę u dołu opatrzoną a zawsze sękowatą, bo była albo z jabłoni albo z głogu; — średniak szedł tylko w jednéj sukmanie, włożonéj na kaftan, pomiernie fałdowanéj, na kapeluszu nosił mniéj pawich piór, a kij jego bywał tylko świeżo ścięty dębczak bez oprawy a nawet bez rzemienia do ręki.

się do żadnéj bijatyki nie mięszali, bo to ta nieprzyjaźń skończy się na Koronowie [2]).

Dalszą w téj mierze rozmowę przerwał turkot bryczki i huk z bicza; Pan Gromadziński jechał czterema końmi, kawaler na wydaniu; woźnica nie żałował ognia z pakuł, bo wiedział, że go pan za to lubił i za głośne trzaskanie nie jednę winę darował. Im więcéj zbliżaliśmy się do Gołańczy, tém różnorodniejsze jawiły się ze wszystkich stron telegi, bryki i bryczki. Od Oleszna jechał ośmdziesięcioletni Łakiński, żółtym faetonikiem na resorach, w cztery kasztanowate klacze z czterema źrebiętami, wolno truchteczkiem; za nim ekonom z żoną na parokonnéj bryczce; od Morakowa pan Bredkrajcz karyolką, wdowiec, piątką w krakowskich chomontach; od Jaktorowa galopował na karym ogierku pisarz prowentowy; pan burmistrz z Kcyni walił trójką, bo wiózł żonę, dwie siostry w panieńskim stanie i dziatwy kilkoro; — zgoła gdzie spojrzyć, na kołach, konno, pieszo zdążali ludzie do Gołańczy a wszyscy strojnie i wesoło, gdyż to był sławny na mil dwie w około dzień *Porciunkuli*. Gdybym się nie lękał zarzutu o rozwlekłość, opisałbym miasto Gołańcz z białą i jak szydło śpiczastą wieżyczką farnego Kościoła i z czerwonemi murami bernadyńskiego klasztoru, — z sześciu uliczkami, — z czworogrannym rynkiem, — z poczciwą ludnością wyznania katolickiego, w ma-

[2]) W Koronowie było sądowe więzienie.

łéj cząstce izraelskiego a w mniejszéj jeszcze ewangielickiego; — opisałbym znanych mi od dziecka aż do starca mieszczan, rzemieślników, kupców łokciowych i pieprzowych, handlarzy na owcze skórki, dzierżawców na sady; — opisałbym fabrykanta powozów pana Hoffmana i jego rodzinę,— kołodzieja w polskiéj kapocie Bryfczyńskiego! — i pana Abrahama Kaufmann, mającego osobny pokój dla szlachty i izbę szynkowną dla chłopów, przyczém od soli aż do cukru wszelki towar, nie wyjmując prochu i śrótu, za które płaciłem rocznie od 20—30 talarów; — opisałbym te mury w dworskim sadzie, co są szczątkami owego zamku, w którym roku 1656 garstka walecznych w obronie przeciwko Szwedom krwawy zgon znalazła. Opisałbym nader szacownego księdza Cellera, proboszcza a późniéj i dziekana, u którego wiele doznałem pieszczot i nie mało jabłek i gruszek stępiłem; — opisałbym gościnnego ks. gwardyana i całe Zgromadzenie OO. Bernardynów, nie pomijając ks. Majkowskiego, co ongi służył sierżantem w wojsku a na starość był kaznodzieją w klasztorze, który co niedziela prosił o pobożne westchnienia «za dusze w kurzawie wojennéj poległych braci»; — nie pominąłbym nawet organisty od fary, który umiał *privatissime* biesy z opętanych wypędzać, za co brał kaszę, łój, talkę przędzy, czasem i prosię, wedle zamożności świadków exorcyzmu; ale nie czas potemu, bo dzisiaj wtorek a ja na środę, na jutro, przyrzekłem do drukarni

ramotkę; nie można więc pisać tomików ani się też rozprysnąć na 30 różnogatunkowych osób, gdyżby i końca nie było a znów nie podobna z kończącym się rokiem ramotkę bez końca drukować, a więc dążę do głównego celu.

Po solennem nabożeństwie ks. gwardyan, uprosiwszy dobrodziejów klasztoru i zaprosiwszy wszystkich łaskawych na klasztorny obiadek, wystąpił z obiadem o dwóch zupach, rakowéj i zapalanéj, z pasztecikami i ze sztufadą po benedyktyńsku, z flakami w obsypance i z potrawą z kurcząt z agrestem i z leguminą z sokiem malinowym, z pieczenią cielęcą i ze zwierzyną i komputem z jabłek, do czego nie żałowano ani cynamonu ani gwoździków, i z ciastkami, które wybornie upiekł kucharz pana Ulatowskiego. Wina było naturalnie także odpowiednio uroczystości i to garniec nie na 8 i nie na 10 złp. ale po 2 talary od Zapałowskiego z Węgrowca, — o co gołaniecki kupiec, Abraham Kaufmann, długo do klasztoru głęboką żywił urazę. Po obiedzie, podczas gdy panie w klasztornym ogrodzie piękne owoce chwaliły a panowie czarną pili kawę i o rozpoczętych żniwach i o polityce rozprawiali, dano znać, że w dworskiéj karczmie krwawa, mordercza pomiędzy chłopami rozpoczęła się bijatyka. Na tę wiadomość kilku z obywateli a pomiędzy tymi i mój ojciec, do którego grona i ja się przyłączyłem, skwapliwie, przyspieszonym krokiem ruszyliśmy na miejsce walki. — Wychodząc na ulicę, usłyszeliśmy bicie

w bęben i straszliwy wrzask. W bęben bił siodlarz Hoffman, stojący z całą siłą zbrojną tuż pod murami klasztoru, to jest z sekretarzem pana burmistrza i z dwoma policjantami; wrzask zaś szerzyły wołające ratunku kobiety, których mężowie należeli do bitwy.

Już o 500 kroków od placu walki dochodził uszu naszych głuchy łoskot, podobny do bicia cepami; — były to uderzenia kijów po twardych czaszkach rozjuszonych rycerzy. — Kiedym wyprzedzając innych, wbiegł na rynek, Wojciech Trzpiel, bezżenny gospodarz z Czerlina, dyszlem, z furmańskiéj bryki wyłamanym, zmiótł w jednym zamachu 5 czy 6 Chawłodniaków, a znów parobek Smoła ze wsi Tomczyce sztabą żelaza, ujętą ze sklepu Abrahama łomotał parobków morakowskich, — po stronach bili się sękowatemi kijmi w młyniec, to jest po parze plecami swój z swoim złączeni; pod ratuszową budką Walek, Sobka a Sobek, Walka oburącz za długie włosy do ziemi przyciągał, a jakaś odważna baba tłukła Sobka kamieniem po plecach, a wszędzie płynęła krew i ciężki jęk wydobywał się z piersi walczących. Rozbroiwszy Trzpiela, wyrwałem Smole sztabę żelaza, Sobka i Walka rozłączyłem. — Obecność księży i sąsiednich panów pokonała resztę; w jednéj chwili ustało morderstwo, a gdy siodlarz Hoffman z głośnym bębnem i trzęsącą się od strachu siłą zbrojną ostrożnie wchodził na rynek, już każdy z panów surowym rozkazem ludzi swoich

do domów rozsyłał. — Opowiadania mieszczan po minionym przestrachu; odżyła gadatliwość mieszczek; szwargot z ukrycia wynurzających się żydów, z których każdy przed znajomym sobie panem podchlebiał się stronném świadectwem; lament żydówek, które w piasku szukały swoich serów, śledzi, gruszek i obwarzanków, — nie wiem, jak długo trwały, gdyż, dosiadłszy ekonomskiego człapaka, ruszyłem podług rozkazu ojca mojego, aby przeszkodzić wznowieniu bitwy na krzyżówce za probostwem, gdzie Morakowianie na Chwałodniaków w silnéj gromadce czekali.

Szóstego Sierpnia tegoż samego roku o godzinie 8-méj rano, w urzędowéj izbie gołanieckiego burmistrza zasiedli za stołem nieocenionéj poczciwości Chlebowski, niegdyś pułkownik a podówczas sędzia pokoju z Wągrowca, — prawego charakteru lantrat Dembiński i sądowy protokulista, nieco zyzowaty pan Stieglitz; przy drzwiach stało dwóch żandarmów w zielonych mundurach, jam usiadł przy oknie, patrząc się z głębokim żalem na płaczące kobiety i na 30 chłopów, zostającéj pod strażą pruskiéj piechoty. Sędzia pokoju (do którego podług urządzeń pruskich i sąd policyi prostéj należał) podyktowawszy panu Stieglitzowi: «Działo się w Gołańczy dnia i t. d.» rozkazał przywołać żyda Herszka, arendarza z karczmy dworskiéj, czekającego za drzwiami.

Herszek był to izraelita wysoki, chudy, z włosem wiewiórczym, z oczyma siwemi; w których

najwyższa przebiegłość i śmiałe cygaństwo nadzwyczajnym ogniem błyszczały, — a obok tego malował się na twarzy przestrach i trwoga, bo chociaż dobrze wiedział, że on jest tutaj niewinnym, lękał się jednak, aby swém zeznaniem pijących u niego co niedziela chłopów nie zdradził a przeto najzyskowniejszéj przyjaźni nie postradał, albo też zemsty nie wywołał; postanowił przeto tak odpowiadać, aby nikogo nie naraził.

— Jak się nazywasz?...

— Herszek Cukier.

— Ile masz lat?...

— Będzie mi się skończyć 40.

— Jakiéj jesteś religii?

— Żyd.

— Czy ty jesteś dzierżawcą dworskiéj karczmy?

— Mam kontrakt na trzy lata przez wielmożnego ks. Ryterskiego wydany, jużci że ja jestem dzierżawca.

— Byłeś obecnym w domu w dniu 2 sierpnia r. b. podczas odpustu Porcyunkuli.

— Kiedy ja z góry zapłacił dzierżawę, dlaczego nie miałem być obecny?

— Ja się nie pytam, czyś dzierżawę zapłacił czy nie, tylko żądam odpowiedzi, czy byłeś w szynku w rzeczonym dniu, czy nie byłeś?...

— Dlaczego nie miałem być?...

— Więc byłeś w domu?...

— Moja żona była, moje dzieci były i ja był.

— Kłótnia, która u ciebie rozpoczęła się po-

między chłopami z Chawłodna i z Morakowa, jakiż istotnie miała początek?

— Jaka kłótnie? żadne kłótnie nie słyszałem.

— Więc nie wiesz o żadnéj kłótni?

— O żadniuteńkiéj kłótnie nie wiem.

— I możesz na to przysiądz w buźnicy, w śmiertelnéj koszuli?

Herszek pobladł, spojrzał się ku mnie i odpowiedział sędziemu zmienionym głosem:

— Prześwietny sądzie, kiedy ja mam przysięgać, ja będę powiedział prawdę, szczerą prawdę. Ja siedziałem za szynkwasem właśnie i rozmawiałem z jednym *psiechodniem* człowiekiem, który się u mnie dowiadywał o jakiego służbę do sąsiednich państwa i kiedy ja mu rozmawiam, że może się dać na włódarza do pana Bredkrajcza z Morakowa, bo tam jednego odegnali, richtig, wtenczas psiszedł czarny Kube z Chawłodna a za nim wgarnęły się chłopy, bo już dzwonili w klasztorze po nabożeństwie, i ten czarny Kube krzyknął sobie ochoczo: «Herszek! dać nam z Chawłodna 1 sztof wódki» a ja téż przestawszy gadać z tym człowiekiem psiechodnim, nachyliłem się do beczki i utoczyłem sztof gorzałki i podałem mojéj córce, żeby Chawłodzkim ludziom na stół zaniosła, a tymczasem stał już przed szynkwasem sołtysiak z Morakowa i wołał: «Herszek dla nas 2 sztofy». Ja wiedziawszy, że sołtysiak zapłaci, utoczyłem 2 sztofy i podało się w dwóch gąsiorach i blaszane

statki i spytałem, czy mu niepotrzebny kołacz albo żytnie gryzki na poczęstne.

— I cóż daléj?...

— Prześwietny sądzie, oni jeszcze nic nie dali, bo się dopiero żniwa rozpoczęły, więc się do jesieni kredytuje znajomym parobkom.

— Głupi jesteś, ja się pytam, co się następnie działo?

— Co się miało dziać?... Chłopi pili wódkę.

— Ale któż rozpoczął kłótnią?

— Żadnéj nie było kłótnię.

— Więc przysiężesz, żeś nie słyszał żadnéj kłótni.

— To jest, ten czarne Kube, bardzo głośno rozmawiał z sołtysem; tego ja słyszał.

— Któryż którego pierwéj uderzył?

— Żadnego uderzył! dlaczego miał uderzyć?... ja nic nie widział, ja nic nie wiem.

— Słuchaj, żydzie, jeszcze raz ci powtarzam, że to wszystko, co tu do protokółu powiesz, dzisiaj jeszcze w bóżnicy przysięgą stwiedzisz.

— Prześwietny sądzie! ja bez przysięgi mogę żadnego fałszu nie dyktować; — jak ten czarne Kube *dicht* głośno z sołtysiakiem rozmawiał, tak czarne Kube, miawszy kij w ręku, położył go na sołtysiaka, ale go zaraz wziął precz.

— Kto położył?...

— Kuba, czarne Kube z Chawłodna.

— Ale co położył?...

— Swojego kij.

— A więc Kuba bił Sołtysiaka?...

— Uchowaj Boże! któż tego powiedział?...

— Ty powiedziałeś, że kładł kij.

— Ale go zaraz wziął precz.

— A jakżeż, sołtysiak czy także kładł kij na Walku.

— Sołtysiak także położył.

— Czy wiele razy położyli te kije na siebie?

— Kilkanaście razy.

— Któryż którego pierwéj skaleczył?...

— Jakiego skaleczył?...

— A przecież była krew! i do dziś dnia są czerwone plamy na podłodze.

— Krew była, prawde, dicht czerwone, katolickie krew, ale żeby jeden drugiego skaleczył, tego ja nie wiem.

— Więc jakże miarkujesz, zkąd się tam ta krew wzięła?...

— Prześwietny sądzie, może z Kubowego kija, może téż odełba Walkowego z Tomczyc, bo on się tamtędy także przechodził, ale ja nie patrzył, ja oczy zamknął i krzyczał «aj! waj!»

Po kilku jeszcze zapytaniach sędziego, który z uśmiechem i z łagodnością słuchał dziwacznych wyrażeń odpowiedzi Herszka, przywołano z kolei winowajców; pouczeni przez kogoś, że jako *complices facti*, do przysięgi pociągani być nie mogą, wyłgiwali się chłopy jak mogli; świadkowie z miasta byli tacy, którzy mało co widzieli; żandarm odmienił swoje pierwotne doniesienie, — i jakoś

cały występek winowajców okazał się o wiele mniejszy, aniżeli z początku mniemano, gdyż i powiatowy fizyk sumienny dał świadectwo, że z 17 rannych żaden nie umrze. Resztę dnia skończyliśmy na plebanii u księdza Cellera, gdzie sędzia Chlebowski przegrał do mnie 34 srebrniki w wiska, a lantrat wyszedł na aksamicie, to jest, ani przegrał ani wygrał.

W dniu 28 sierpnia, a więc w trzy tygodnie później, w dniu mych imienin, równo ze wschodem słońca przebudzony zostałem warczeniem leżącego przy moim łóżku Tyrasa i poszmerem w sieni. Wtém otworzyły się drzwi i weszło dwoje dziewuch świąteczno ubranych i sześciu parobków. — Było to poselstwo z sąsiednich wiosek, poselstwo dziękczynienia za moje pośrednictwo pomiędzy dniem 2 i 6 sierpnia, poselstwo od poczciwych chłopów z powinszowaniem moich imienin, z podarkiem orzechów i miodu w świeżych plastrach.

— Siostrzyczki i bracia moi! com dla was uczynił, pochodziło z czystéj do was miłości; przyjmuję podarunek, aby waszych serc wdzięcznych nie obrazić, ale was zarazem proszę abyście na przyszłość w każdéj przygodzie udając się do mnie z ufnością, przychodzili bez żadnych podarków, gdyż Mateusz, mój chrzestny ojciec, nauczył mnie, że za chrześciańskie uczynki żadnéj nie należy brać nagrody.

5685

SYMPLICIUSZ RZESZOTKO,

przez pannę Katarzynę zdradzony, cukrową wieczerzę w lodowni postradał, Kręcicki najpomyślniéj się wykręcił.

POWIASTKA Z TEGOCZESNYCH OBRAZKÓW.

Sympliciusz Rzeszotko, syn obywatelski już pełnoletni, bo 32 roczki życia swojego liczący, młodzieniec na urząd zbudowany więcéj niż słusznego wzrostu, w plecach szeroki, twarz czerstwa i rumiana, usta wyraziste, zęby białe i kardeszowate, czoło niskie, włos rudy i gęsty, oczy chociaż niewielkie lecz ani czytaniem ani miejską swawolą niesturbowane, a więc wesołe i zdrowe, nos nakoniec rozłożysty, któren wybiegał cali dwa i pół kątem prostym, przyzwoity stanowiąc kapturek nad krótko strzyżonym wąsem, — jedném słowem: Sympluś, chłopiec przystojny, dziedzic Gapiejowic, obszernéj włości bez długu. — Prochu nie wynalazł, ale cztery działania arytmetyczne niezgorzéj umiał na pamięć; w drobniejszych okolicznościach nie potrzebował pisarza; z literatury ojczystéj znał bajki Krasickiego i już po raz trzeci zabierał się do życia Napoleona wydania Merzbacha, ale myśl o pannie Katarzynie z Chawłodna tak olbrzymiego

przedsięwzięcia do skutku przywieść mu jeszcze nie dozwoliła

W roku, w którym się osnowa poniżéj orzeczonych zdarzeń zaczyna, Wielkanoc przypadła jakoś przy końcu kwietnia; w przewodnią przeto niedzielę łąki już się pięknie zazieleniły, powietrze było majowe, dzień jasny i pogodny, a pan Sympliciusz, siedząc na ławie w krużganku przed swoim dworcem, po całodziennem dumaniu pokręcił wąsa i znów dumać zaczął, czy jechać do panny Katarzyny, czy nie jechać?... Wreszcie wpadł na szczęśliwy koncept, porachował guziki u fraka, były parzyste, a więc zaprzęgać kazał.

W Chawłodnie u państwa Rozdętowiczów licznie zebrane sąsiedztwo w poobiednéj chwili rozdzieliło się na rozmaite gromadki; — starsi panowie, ubolewając nad czytanemi w Gazecie warszawskiéj artykułami o oczynszowaniu włościan, przy smacznym węgrzynie dowodzili, że ten projekt ubogich mędrców, co pod strychem chcą cudzemi majątkami rozrządzać, z wielu względów udać się nie może, zwłaszcza że kraj jest ubogi i do podobnych niebezpiecznych odmian moralnie nie usposobiony; a lubo brat pani Rozdętowiczowéj, który z poza Prosny w odwiedziny do szwagra i siostry przybył, a temu kłopotowi obywateli Małopolskich obecny, zapewniał, że i on przed 15-tu laty taksamo mylnego był zdania, dopóki go najpomyślniejszy skutek inaczéj nie przekonał; — wbrew jednakże wszelkim najjaśniejszym dowodom dobra ogółu,—

o co mniejsza, — ale i wbrew niezbitym dowodom oczywistych korzyści dla samychże dziedziców, — *o co większa*, — jakie Wielkopolanin z błogiego doświadczenia objawił, — stanęło w Chawłodnie na tém, że przy dawném pozostać winno i że *później* może się to da zrobić ale *nie na teraz.* Zaczém Wny Rozdętowicz, nie oznaczywszy bliżéj tego wyrazu *po później*, w słodkiém przekonaniu, że żaden uszczerbek dogodnéj pańszczyzny za jego życia nie nastąpi, powtórnie cztery butelki z piwnicy przynieść rozkazał.

Starsze panie zajęte były pochwałami białéj jak śnieg i cienkiéj serwety od kawy, którą pan Rozdętowicz wraz z inną bielizną stołową przeszłego roku z *Karlsbad* był przywiózł, nie opłaciwszy szczęśliwie cła na komorze polskiéj, bo wszystkiemi sprawunkami żonę, siebie i służących pod sukniami zręcznie, to jest niewidzialnie poobwijać potrafił a strażnikowi 20 złp. w przyzwoitym czasie wcisnął do ręki.

Uwaga pani Rozmysłowskiéj, że nasze krajowe wyroby coraz są lepsze a przy szczerém staraniu o dobrą przędzę zaspokoić mogą i wymyślniejsze potrzeby, oburzyła panią sędzinę Bawolską o tyle, że jéj wręcz z przyciskiem powiedziała:

— Trzeba się nie w domu obywatelskim ale przy kołowrotku urodzić, aby mieć staranie o lepszą przędzę; nadto proszę mi powiedzieć, jak można dać na stół krajową bieliznę, *kiedy się gość trafi.*

— *Vous avez raison, ma chere,* — poparła panią sędzinę pani Dymalska;— np. wydając córkę za mąż, ciekawam, coby nasza młodzież powiedziała, gdybym któréj z moich panien krajową bieliznę na wyprawę dać się ośmieliła; pewnoby się młodsza zestarzała. Właśnie tego roku, skoro mąż mój odbierze odnowioną z Towarzystwa ziemskiego pożyczkę, pojadę z hrabiną do Wrocławia, aby Żanetce i Emilce kupić wyprawę.

— Więc można już powinszować!?...

— Jeszcze niezupełnie, gdyż pan Adolf przy landsknechcie okazał się dla mojego męża cokolwiek niegrzecznym, odmówił mu téż ostatniéj decyzyi swojéj; — ale ja tam na niego nie uważam i z méj strony Żanetkę panu Adolfowi Golskiemu przyrzekłam, bo to tylko chwilowy grymas jegomości i niepamięć, że i on pana Adolfa w preferansie ogrywał; dobrze więc, że się chłopczysko zrewanżuje;—piękniejszym téż za to ekwipażem do ślubu wystąpi.

— Pani zapewne w Wrocławiu i dla siebie porobisz sprawunki?...

— Naturalnie że kupię cokolwiek i dla siebie.

— Rekomenduję pani na suknię atłas lyoński w deseń u Immerwahra.

— Tak, już to kilka sukien muszę sobie sprawić; ale ja myślę prócz tego, aby mi się okroiło na szal, bo u naszych kupców warszawskich trudno prawdziwy napotkać.

Nachylając się do ucha pani Dymalskiéj, konfidencyonalnie zapytała sędzina: «Ma chére, ile myślisz wydać na wyprawę?» Pani Dymalska, uprzejmie się uśmiechnąwszy, cicho odrzekła: «Bierzemy 40,000 złp. odnowionéj pożyczki, jeżeli więc żyd mojemu mężowi długu poczeka, radabym wszystko zagarnąć.»

«O toby się dało okroić na prawdziwy szal! z westchnieniem zazdrości wymówiła sędzina.

Nie wątpiąc, że żyd za dobrym procentem poczeka, że jejmość całą odnowioną pożyczkę zagarnie, i że się dla jejmości z pewnością okroi, przepraszam czytelników, iż się zbyt długo przy starszych paniach bawiłem; — proszę więc teraz do młodszego grona.

W obcisłym fraczku wysmukły kawaler, pochylony za krzesłem panny Katarzyny, ten, który jéj szepcze, że ją uwielbia i kocha nad życie, jestto Julian Kręcicki, jego matka Charapnicka z domu;— familiant, przystojny, edukowany, bo aż 5 klas skończył w szkołach lubelskich, pół roku był w Dreznie, posiada majątek dziedziczny w Chrubieszowskiem, jego liberya opatrzona jest w cynowe pobielane klamerki herbowe, pozyskał w całości serce panny Katarzyny; — a i rodzice panny byli mu w początkach wielce przychylni, ale wtorkowe gazety szatańskiego wypłatały mu figla, bo czy winą obrońcy sądowego, czy skutkiem omyłki, czy skutkiem rzeczywistéj nieubłagalności wierzyciela, dosyć, że w owych gazetach wtorkowych najwy-

raźniéj wydrukowano ogłoszenie koniecznéj sprzedaży dóbr Wielkie i Małe Kręty wraz z folwarkiem Mydłosław, które to dobra majątek pana Juliana Kręcickiego stanowiły. Takowe ogłoszenie nic więcéj jak słusznie, że nadzwyczajną sprzeczność z dawniejszemi widokami w umyśle państwa Rozdętowiczów sprawiło i bez wątpienia téjto jedynie sprzeczności wynikłością mienić można, że pan Rozdętowicz po przeczytaniu wtorkowych gazet miał długą sam na sam z żoną naradę a następnie, zawoławszy Kasi, łagodnie ale poważnie rodzicielskiego udzielił jéj napomnienia, ażeby dla pana Sympliciusza Rzeszotko w ogóle była najgrzeczniejszą, a po szczególe, aby na jego zapytania miłym i wdzięcznym uśmiechem odpowiadała; ażeby owych odwracań się i wszelkich dąsów zaniechawszy, skoro objawi prośbę o grę na fortepianie, o śpiew jakiéj ulubionéj przezeń aryi, aby mu téj przyjemności bynajmniéj nie odmawiała; a gdy uczyni wyznanie szczerych uczuć, ażeby z przyjemną skromnością takowe przyjęła, niepomijając wszakże przyzwoitego odwołania się do woli rodziców; — pana Kręcickiego zaś aby sobie zupełnie raz na zawsze z głowy *wyperswadowała*. Do tego ojcowskiego napomnienia dodała matka: — «Moja Kasiu! mówiłaś mi już dawniéj, że się do pana Rzeszotko z przyczyny jakoby jego ograniczonych wiadomości przekonać nie możesz, otóż ci wyjawię, że twój ojciec nie posiadał więcéj nauk od pana Sympliciusza, żyjemy przecież za sobą 30 lat mniéj więcéj szczęśliwie;

przytém prawda że pan Kręcicki jest światowy, że był za granicą i że jego matka Charapnicka z domu, ale téż z drugiéj strony, moje dziecko, pan Rzeszotko długów żadnych na Gapiejowicach nie ma, sąsiaduje z nami; jest także wylegitymowany i mężczyzna wiele obiecujący pod względem szczęścia małżeńskiego, które, wierz mi, moje dziecko, mnóstwo cierpień naszego życia osładza, — i w téj mierze mogę ci więcéj pomyślności rokować z panem Sympliciuszem, aniżeli z panem Kręcickim, którego zdrowie nie mało zdaje się być nadwerężoném.

Pomimo tak rozsądnych napomnień ojca i światłéj uwagi matczynéj panna Katarzyna na pozór udając posłuszeństwo, w sercu swojém przysięgła dla Juliana miłość, wierność i stałość aż do grobowéj deski.

— Pani czy podzielasz swoich rodziców obawę o mój majątek? — zapytał dzisiaj półgłosem Kręcicki, który z okazanéj mu przez państwa Rozdętowiczów oziębłości domyślił się, o co rzecz idzie.

— Panie Julianie! — odrzekła ogniem miłości płonąca czarnobrewa dziewica, — zasługujęż na taką ze strony pana o moich uczuciach wątpliwość?...

— Aniele mojego życia, duszo mojéj duszy!...

Rozgłośny trzask z bicza i turkot pojazdu przerwał słodkie wyrazy rozczulonego młodzieńca i w téjże chwili czworokonny koczyk zajechał przed dworzec Chawłodna.

— «Pan Rzeszotko!» — zawołał ktoś z gości; wszyscy na Juliana, Rozdętowicze po sobie spojrzeli a niebawem ukazał się w progu Sympliciusz w całéj okazałości.

— «Witamy łaskawego sąsiada!» — wyrzekł gospodarz domu i przyjaźnie podał rękę i nadstawił ogorzałego lica, które pan Rzeszotko z obu stron najserdeczniéj ucałował, a następnie zacząwszy od gospodyni domu, wszystkim damom z kolei rączki ustami swemi namaszczył, poczém jeszcze kilku sąsiadom dubeltowe oddawszy całusy i nakoniec przekonawszy się, że o nikim ze znajomych nie zapomniał, jakby tym obrządkiem zmęczony, usiadł przy pannie Katarzynie i z przymileniem o zdrowie zapytał.

Panna Katarzyna w dwudziestéj wiośnie dziewiczego życia chlubiła się tak wyraźnym dowodem zdrowia, że jéj tuszę i krasny rumieniec na wystawie sztuk pięknych umieścićby można; życzliwe więc zapytanie pana Sympliciusza zdawało się być nadmiarem troskliwości, został jednakże zaszczycony odpowiedzią: «Dziękuję panu, zdrowa jestem». — Nie tak łatwém, jak pierwsze, było drugie zapytanie pana Sympliciusza, gdyż długą się chwilę namyślał, zanim się odezwał: «Państwo byli dzisiaj w kościele?»

— «Byliśmy» — odrzekła panna Katarzyna. — Po obustronném znów przeciągłém milczeniu już się pan Sympliciusz zabierał do pochwały dnia pogodnego i właśnie ułożył sobie trzecią odezwę

w wyrazach. «Jak piękną dzisiaj mamy pogodę!» kiedy pan Rozdętowicz napełniwszy kieliszek, wychylił do pana Dymalskiego: «*Przybycie pana Rzeszotko, łaskawego sąsiada!*» Zerwał się więc pan Sympliciusz ze swojego *punctum* i poskoczył napełnić inny kieliszek zdrowiem państwa Rozdętowiczów. Tymczasem Kręcicki zajął przy pannie Katarzynie miejsce Rzeszotki i z przytłumioném westchnieniem na uszko poszepnął: «Ubóstwiona przezemnie istoto! tylko dla ciebie znieść jestem zdolny takie piekło udręczeń!»

— Drogi Julianie! — jak najciszéj odrzekła Kasia i na silne uściśnienie swéj drobnéj rączki szczerem odpowiedziała uściśnieniem dłoni lubego kochanka.

Młodości! ty, która znasz tajniki serc płomiennych, ty jedynie byłabyś zdolną godnie określić wdzięczne a ogniste uczucie Kręcickiego i ty jedynie zdążyłabyś policzyć bicie tętna panny Katarzyny; — ja zaś świecący łysiną, powiem tylko, że długo jeszcze kochankowie szeptali, podczas, gdy pan Sympliciusz przy kieliszku, pośród rozmowy ze starszymi obywatelami, badawcze na pannę Katarzynę a groźne na Kręcickiego rzucał spojrzenia.

Minęły żniwa; siew jesienny już był w połowie, pani Rozdętowiczowa smażyła powidła, pan Rozdętowicz z przyszłym swoim zięciem, z panem Sympliciuszem pojechali z gończemi do kniei i zdała

słychać było, jak pojezdnego trąbili, kiedy panna Katarzyna, któréj drugą zapowiedź z panem Rzeszotką wczoraj z ambony w parafialnym kościele ogłoszono, najgwałtowniejszą wiedziona rozpaczą, otuliwszy się w kryspinkę, ostrożnie, aby nie być widzianą, zdążała do chatki po za ogrodem, gdzie mieszkał siwobrody Jankiel, dzierżawca mleka, z dawien dawna nadworny faktor dziedziców Chawłodna.

— Jak się miewacie, Jankielku! — mówiła panna Katarzyna, wchodząc do izby żydowskiéj, widziałam was powracającego z jarmarku, przychodzę więc po obiecaną wiadomość...

— Aj waj! panienka sama się będzie fatygować?... ja właśnie miałem iść do dworu.

— Lepiéj, żeście nie przyszli, we dworze mógłby nas kto podsłuchać; — powiedzcie mi, czy widzieliście się z panem Kręcickim?

— Dlaczego się nie miałem widzieć? przecie ja po to pojechał. Pan Kręcicki bardzo jest zdrów, panienkę wiele razy pozdrawia i dał mi list, życzywszy sobie, aby saméj panience do rąk oddać bez żadnego świadków, — co ja téż będę zrobić. «Ryfkę gaj raus!»

Na rozkaz taty młoda Ryfka, zagarnąwszy ze sobą młodego bachora, wsunęła się do komory; poczém Jankiel zdjął ze siebie skórzany trzos i wytrząsnąwszy z trzosa płócienny woreczek, wyjął z niego w Warszawskiego Kuryerka obwiniony list różowy z napisem:

A Mademoiselle Mademoiselle
Cathérine de Rozdętowicz
par bonté.
à Chawłodno.

Na widok liter, ręką Juliana stawianych, panna Katarzyna wpadła w to lekkie omdlenie, które zwykle bywa posłannikiem gwałtownéj radości i szczęścia. Jankiel, nie znając delikatniejszych uczuć płci pięknéj wyższego stanu, spostrzegłszy mniemaną bezwładność i horyzontalne zatoczenie ócz panny Katarzyny, krzyknął, co mu gardła starczyło, i w téjże chwili zaczerpnąwszy w nagłym pośpiechu zamiast wody serwatki, pod ręką w cebrze stojącéj, wiedziony szczerą chęcią trzeźwienia, oblał obficie twarz i serce panny Katarzyny.

Ten słodko kwaskowaty płyn, w którym się znaczna ilość sera znajdowała, nietylko że natychmiast przytomność panience przywrócił, ale i oburzenie przeciw zbyt usłużnemu Janklowi wywołał. Wbiegła na ten hałas Ryfka i naprzemian tatę do komory wypchnąwszy, uwolniła panienkę z mokrego ubrania; zanieciła na kominku ogień i sukienki suszyć poczęła. Wówczas dopiero panna Katarzyna, osłoniona sukienną kryspinką Ryfki, serwatką zlany list drogiego kochanka chciwemi pochłonęła oczyma; był zaś następujący:

«Życie mojego życia! Aniele mojego zbawienia!

«Dzięki, żadnym niewysłowne wyrazem, przesyłam ci, najdroższa, za ten balsam pociechy, który twoją stałością wlałaś w serce moje; a więc wreszcie przekonałaś się, o luba! że nam inny nie pozostaje środek. — Nie marnujmy słów, gdzie czynu potrzeba; ja dzisiaj jeszcze wyjeżdżam do Warszawy dla wyjednania indultu i w sobotę o trzy kwadranse na dwunastą z gronem wiernych mi przyjaciół oczekiwać cię będę przy lodowni Aż do téj chwili żadnéj ci o sobie nie dam wiadomości, bo lękam się, abyśmy nie wzbudzili podejrzenia. Jakkolwiek przekonany jestem, żeś wyższą nad materyalny interes, dla przekonania cię, jak niesprawiedliwymi są twoi rodzice, donoszę ci, najdroższa, że sprzedaż mojego majątku przez udowodnienie nieformalności, popełnionych przy sporządzeniu taksy, szczęśliwie wstrzymałem i mam nadzieję, że jeszcze lat kilka bronić się potrafię. Tymczasem może téż Bóg księdza biskupa, wuja mojego, po najdłuższym życiu do chwały swojéj powoła. Najdroższa! za kilka dni moją będziesz na zawsze».

Twój do grobu
Julian.

Ucałowawszy lube pismo drogiego kochanka, przezorna dziewica powierzyła je płomieniom palącego się na kominie łuczywa; a gdy pokrótce usłużna Ryfka sukienki wysuszyła i wielmożną panienkę ubrała, panna Katarzyna wedle możności

Janklowi i Ryfce brzęczącą monetą dziękując, przez nikogo nie spostrzeżona, wymknęła się na ogród z powrotem do mamy.

Czas leniwo dla kochanków bieżał; niemniéj przeto po wtorku środa, po środzie czwartek, po czwartku piątek przemijał i wreszcie pożądana zawitała sobota. W domu pana Rzeszotki na ustawianiu z Warszawy przywiezionych machoniowych mebli, na czyszczeniu koni, szorów, pojazdu, na przymierzaniu liberyi; u państwa Rozdętowiczów na rozlicznych przygotowaniach do jutrzejszéj uczty weselnéj jedynego dziecięcia, zaledwo że dnia starczyło; Kasia tymczasem pełna trwogi, niecierpliwości i najróżnorodniejszego uczucia, co chwila spozierała na zegar i tkliwą łzą żegnała wszystkie zakątki rodzicielskiego domu, który téj nocy jeszcze może na zawsze opuścić miała. Gdyby nie ułudny obraz modrookiego Julisia, co się z wyrazem najgorętszéj i rozpacznéj miłości snuł przed jéj oczami, kto wie, czy prawe uczucie córki nie przyczyniłoby się do spełnienia szczęścia pana Rzeszotko: — ale pamięć przysiąg Juliana, że ją swoją miłością uszczęśliwi, przytłumiła głos sumienia względem rodziców, ustalając dane Julisiowi słowo. W wieczór pani Rozdętowicz po przekonaniu się, że wszystko wedle jéj rozkazów wypełnione, zamknęła się w swojéj sypialni i kokosowém mydełkiem umywszy ręce, od tygodnia raz dwunasty przymierzyła przed wielkim zwierciadłem z Warszawy przysłany czepek blondynowy z pąsowemi

Biblioteka Uniwersytecka Kielce

różami; — ale bo też ślicznie był do twarzy; — następnie obejrzała raz jeszcze morderową suknią z najmodniejszym bawetem, wydobyła z toalety długie złote, turkusami zdobne kolczyki, wielkie korale z ubrylantowaną zapinką i emaliowany zegarek z łańcuszkiem, kilkanaście pierścionków rozmaitéj wartości, atłasowe trzewiczki, ażurowe pończoszki, włosienną, wybornie odymającą spódniczkę, nowy, jak kruk czarny, szynion, pudełko z różem, białe rękawiczki i batystową chustkę do nosa, oszytą w koronki; — a zapewniona, że na jutro wystąpi paradnie, udała się do pokoiku swéj córki.

— Cóż to, Kasiu, ty już śpisz? ja chciałam jeszcze obejrzéć twoją ślubną suknię i rozmówić się z tobą, czy ci jutro przy ołtarzu płakać wypada czy nie?

Kasia z zamrużonemi oczyma milczała.

— Wyśpij się, moja córko; jutrzejszéj nocy nie będzie na to czasu. — Po tych wyrazach mama już pokoik córeczki opuścić miała, kiedy przypadkowém spojrzeniem zoczyła pod łóżeczkiem leżące spore zawiniątko i futrzaną Kasi salopę.

— Jezus Marya! domyślam się reszty, — w duszy wymówiła przelękniona matka i bezzwłocznie pobiegła do męża. Jegomość z omydloną brodą, brzytwę trzymając w ręku, zabierał się właśnie do uprzątnienia drugiéj połowy twardego zarostu, kiedy jejmość, blada jak trup, z rozwartemi przed nim stanęła ustami.

— Dla Boga! cóż to jest Tekluni?

— Wielkie nam grozi nieszczęście, ale mu jeszcze zaradzić można.

— W Imię Ojca i Syna — jakie nieszczęście? co się jejmości przyśniło!?

— Oto widzisz, kochany mężu, — przed chwilą przychodzę do Kasi, aby z nią o jutrzejszym ślubie pomówić, aby ją do przykrości małżeńskiego stanu przygotować...

— Co jejmość plecie, — jakie przykrości?

— Nie przerywaj mi i raczéj słuchaj; gdym weszła do jéj pokoju, udała, że śpi i na moje pytanie nie odpowiedziała. Już miałam spokojnie do mojéj sypialni powrócić, odkładając na jutro rano rozmowę, aliści przypadkiem spostrzegłam pod jéj łóżkiem zawiniątko i futrzaną salopę.

— No i cóż daléj?... jejmość cedzi słówka, jakby przez smołę...

— Jakto, więc się nie domyślasz, co się święci?

— Co jejmość gada? co się ma święcić?...

— Kręcicki dzisiaj w nocy naszą córkę wykradnie! No, teraz rozumiesz?

Na tak wyraźne orzeczenie palnął się pan Rozdętowicz całą dłonią przez czoło, jakby dla otrzeźwienia mózgu i rzekł z podziwieniem:

— A czy to być może? ha! teraz dopiero wszystko rozumiem! A kot nie dziecko, hej! Łukaszu, Andrzeju!

— Tylko cicho; niech jegomość nie wrzeszczy; czyli chcesz, aby się Rzeszotko o wszystkiém dowiedział? aby po całém sąsiedztwie o tém gadali?...

Może też i dziewczyna niewinna... Usłuchaj mojéj rady: weź ekonoma i kilku wiernych nam ludzi,— rozstaw warty naokoło domu i czekajmy, czy kto po nią przyjdzie czy nie. Jeżeli przyjdzie, powiesz mu po cichu: «Idź precz, łotrze — wiemy o wszystkiem, po ślubie méj córki z tobą się rozprawię» i na tém dzisiaj skończyć, — a jeżeli nikt nie przyjdzie, wyraźny będzie dowód, że nasze podejrzenie było bezzasadne.

— Masz jejmość *racyą;* możnaby bez potrzeby skompromitować córkę i cały nasz dom; — kto wie, co to za zawiniątko i czyli to nie z winy służącéj Marysi, że się salopa pod łóżko dostała.

— Tak, być to wszystko może; — ale ostrożność nie zawadzi, gdyż podejrzenie zawsze jest wielkie; — bo przypomnij sobie tylko, ile to razy zastaliśmy ją osmuconą a nigdy nam powodu smutku swojego objawić nie chciała! A pamiętasz, jak to ten list szybko na ogień wrzuciła, przy którego czytaniu zastałeś ją płaczącą? Ja pewna jestem, że Kręcicki od samego początku, jakeśmy mu w domu bywać zabronili, aż do dziś dnia do niéj pisywał i że się ze sobą potajemnie widywali.

— Dosyć tego gadania! wiem, co zrobię; idź jejmość do swego pokoju i czekaj cierpliwie końca, bo wierzaj mi, że Rozdętowicz głowy od samego kształtu na karku nie nosi i potrafi przedsięwziąć najdostateczniejsze środki, aby swojego pisklęcia nie wypuścić, a ptasznika na niedozwoloną mu zdobycz czychającego, przyczłapić. — O!

panie Kręcicki! mnie się z pewnością nie wykręcisz! Nie w Wielkich Krętach z żydami, ale w Chawłodnie z Rozdętowiczem sprawa...

— Mężu, tylko ostrożnie, żeby przypadku nie było.

— Proszę bardzo pani do swojego pokoju, — ani słowa więcéj. —

Jejmość znając uporną popędliwość jegomości, wyszła strapiona. Pan Rozdętowicz, haftowane na kanwie pantofle wyrzuciwszy pod sufit, zazuł juchtowe myśliwskie obuwie, wziął na się kapotę, lisami podszytą, przewdział dubeltówkę przez plecy, z pośpiechu zamiast jesiennéj czapki pochwycił z wielkim rydelkiem od słońca nankinowy kaszkiecik i zapominając niegolonéj połowy brody z bielących się mydlin obetrzyć, sążnistym krokiem przez bawialny pokój szklannemi drzwiami wybiegł do ogrodu.

Psy podwórzowe ozwały się głośno, ale nagle uciéły i odtąd znów cichość głęboka panowała na około dworu. — Ścienny zegar na sali uderzył jedenastą. — Kasia nie wiedząc o tém, co zaszło w pokojach rodziców, rozumiejąc, że sobie spokojnie nocnego używają spoczynku, ubrała się pociemku, okryła się salopą i, trzymając zawiniątko pod ręką, usiadła przy oknie. Przykrém jest jakiegokolwiek rodzaju oczekiwanie, ale okropną bez wątpienia być musi ta ostatnia godzina, która nas od zamierzonego występku przedziela. Każdéj sekundy w przybocznym pokoju na zegarze tyknię-

cie zdawało się być łoskotem śmierci dla nieposłusznéj córki, a każden przedział minuty od minuty dla młodéj kochanki stawał się wiekiem udręczenia. — Uderzył kwadrans na dwunastą, — Kasia rzewnie zapłakała. Wybiły dwa kwadranse, — Kasia usłyszała zdaleka trąbkę pocztarską i gorąco modlić się poczęła; — nakoniec trzy kwadranse wybiły. Kasia, drżąc jak liść jesienny, otworzyła okno i lekką stopą stanęła na murawie. Wiatr zachodni przyniósł do jéj uszu ciężkie westchnienie, zaledwo trupem nie padła; ale w tęż chwilę lekki, umówiony klask dłoni w stronie północnéj ogrodu wzbudził jéj odwagę. — Obejrzała się po raz ostatni na ten dom, w którym na świat przyszła, w którym doznała tyle dowodów rodzicielskiéj miłości, gdzie z małą przerwą całą młodość spędziła, gdzie tyle było pamiątek, chwil radości i szczęścia. Już, rozdzierającém jéj serce uczuciem tłoczona, miała się zrzec zuchwałego przedsięwzięcia w chwili ostatniéj, kiedy w pobliżu rozległ się nagle straszliwy wrzask i hałas, do którego mięszał się piorunujący, groźny głos jéj ojca. — Że pannie Katarzynie w tak niespodzianie nieszczęśliwym a okropnym wypadku nieodzownie i koniecznie, nie tracąc chwili czasu, zemdleć a panu Kręcickiemu z orszakiem przyjaciół przeciw zasadzce mężną obronę stawić należało, tego spodziewam się, że nikt z czytelników nie zaprzeczy. Taką téż naturalną koleją wszystko się spełniło; — to tylko było nadnaturalném, że kochanek zamiast z kochanką szczę-

śliwie się dostać do pojazdu, aby pośrednictwem wiatronogich dzianetów ujść przed pogonią gniewnego ojca, pan Kręcicki, ująwszy drogi ciężar na ręce, odcięty od walecznych przyjaciół, pośród zamięszania schronił się z panną Katarzyną do dobrze znanéj mu lodowni.

Na sumę w sąsiedniéj wiosce w parafialnym kościele dzwoniono a nikt dzisiaj z Chawłodna do kościoła nie wybierał się, bo z mężczyzn kto tylko żył na rozkaz pański konia dosiadł i w licznych pocztach pod przywództwem wierniejszych dworskich na ściganie córki dziedzica i jéj uwodziciela w rozmaite strony wyruszył. Niewiasty, trawione ciekawością, obległy dziedziniec, a sołtys z kilku pozostałymi starcami, uzbrojony w widły i cepy, stał na warcie przed lodownią, dokąd dziedzic pochwytanych przyjaciół pana Kręcickiego zamknąć rozkazał.

Słońce już się zbliżało do zachodu a jeszcze nikogo z powrotem widać nie było; dopiero zmierzchem powrócił najprzód ekonom z 10 jeźdźcami, nieco późniéj powrócił karbowy z czterema ludźmi, bo dwóch zginęło mu na jarmarku; — ogrodnik, podleśny i kowal zjechali się jakoś razem na drodze i przybyli w 18 koni; na ostatku panowie Rozdętowicz, Sympliciusz Rzeszotko i sąsiad Dymalski w 35 koni powrócili, ale nikt najmniejszego śladu występnych kochanków nie powziął,

a jeden tylko piany kowal zdał sprawę, iż mu na jarmarku kuma powiadała, że nad ich wsią, nad rankiem, bardzo piękny panicz i prześliczna panienka na zaczarowanéj łopacie powietrzem ku Łyséj Górze lecieli. — Samo się przez się rozumie, że takowéj baśni panowie nie uwierzyli i raczéj skłaniali się do ogrodnika, który utrzymywał, że panienka ze swoim ulubionym kochankiem w jeziorze się utopiła, bo od czasu, jak panu Kręcickiemu pan rodzic bywać w Chawłodnie zakazał, panienka codziennie nad jeziorem się przechadzała, zapewne najgłębszego upatrując miejsca. Ten domysł potwierdziła i służąca Marysia, która zeznała, że panna Katarzyna do niéj nieraz mówiła, iż prędzéj się utopi, aniżeli pójdzie za pana Rzeszotko. A więc jejmość w płacz straszliwy, przy którém było co nie miara wyrzutów z początku mężowi a potém i panu Rzeszotko, któren, wyciągając sobie palce ze stawów, jął rumianą twarz swoję ubierać w różne grymasy i nakoniec się rozbeczał; — zanim bezzwłocznie ryknął Rozdętowicz, a pani Dymalska, która od rana pani Rozdętowiczowéj *desperować* dopomagała, jakby na przedętym klarynecie rej przed wszystkiemi wiodła.

W tak płaczliwém zgromadzeniu dla wszelkiéj przyzwoitości wypadałoby i szanownym czytelnikom zapłakać, — czego bynajmniéj czułym paniom nie zabraniając, czytelników płci męzkiéj do lodowni zapraszam.

Przez najdroższego Julisia do podziemnéj groty

uniesiona Kasia, chłodem lodu owiana, rychło do przytomności wróciła. — Dopóki uszu ich dochodził głos pana Rozdętowicza, bohaterowie romansu drżeli ze strachu; ale skoro się w ogrodzie uciszyło, przysięgi wiecznéj i żadną potęgą świata nierozerwanéj miłości spłynęły z ust kochanków pośród brył lodu; — kiedy pilniejsza na ucho kochanka, nagle wydzierając się z lubego objęcia, z przerażeniem zawrzasła: «idą! idą!» — Jakoż w istocie mocne stąpania i hałaśliwe głosy coraz się więcéj do ich ukrycia zbliżały. Julian przedsięwziął bronić się do śmierci, z wielką trudnością podjęty bałwan lodu wzniósł do góry, aby nim głowę pierwszego nieprzyjaciela roztrzaskać. — Kasia błagając, aby życie jéj ojca oszczędził, upadła do nóg rozjuszonego kochanka. W tém otwierają się drzwi; przemocą 7 osób do lochu wtrącono i zaraz też same drzwi za niemi zatrzaśnięto, a zakładanie kłótki najwyraźniéj świadczyło, że przybysze byli nie aresztujący ale aresztowani.

— Adolfie! mnie się zdaje, że do jutra garb mi na plecach wyrośnie, tak nielitościwie palnął mnie jeden z tych pachołków, gdym się już do powozu dobierał...

— Edgardzie! tyżeśto? — zawołał Julian, odrzucając na stronę trzymaną w swoim ręku bryłę lodu.

— Julianie! — kilka zawołało głosów.

— Cicho, cicho, przyjaciele; oni nie wiedzą, że ja się tu dotąd z moją narzeczoną schroniłem.

— Jakto? i panna Katarzyna tutaj?

— Tak jest, zacni przyjaciele; widząc zdradę i przemoc, odcięty od was, nie miałem innego środka jak tutaj przynieść zemdloną w nadziei, że po jéj powrocie do zmysłów, po uciszeniu się wrzawy, rychłą odzyskamy wolność i u którego z sąsiadów konie do dalszéj podróży znajdziemy, na przypadek, gdybym się z wami nie spotkał.

— Julisiu! spotkaliśmy się rychléj, aniżeliś się spodziewał; — o tém cię zaś zapewnić mogę, że szanowny ojciec twéj lubéj, kiedy nas tutaj odprowadzić kazał, zaklął się, że żadnego z nas 50 bizonów jutro nie minie. — Spodziewam się, że tobie w trójnasób nagrodę wydzielą.

— Jakim sposobem daliście się uwięzić?

— Najnaturalniejszym; — cały ogród był obstawiony chłopami, a każdy miał w ręku kołek z płota, zapewne dębowy, bo twardy, jak cię o tém zapewnić mogę. Cóż ci mam więcéj powiedzieć?

— A to jest szkaradnie!

— Żeby tylko na tém się skończyło, mniejsza o to, — bo po ciemku nikt nie widział, co któren z nas oberwał i jakoś blizny z pola walki nie hańbią; lecz mój miły Julisiu, jak przyjdzie jutro przy jasném słońcu miękkiego grzbietu pod pleciony rzemień nadstawić, — wierzaj mi, to będzie szkaradniéj...

— Panowie! — ozwała się smutnym głosem panna Katarzyna — przebaczcie, że z mojéj winy zostaliście narażeni na niebezpieczeństwo życia,

i że macie jeszcze doznać sromotnego obejścia... Wszakżesz nie tracę nadziei, że ojciec mój, gdy jego pierwszy gniew przeminie, potrafi zemstę swoję w przyzwoitsze ująć szranki i nie zechce się zniesławić gminnym postępkiem względem swoich współobywateli.

— Dziękujemy pani za pocieszenie, — ozwał się milczący dotąd hrabicz Edgar, — ale zachodzi wielkie pytanie, czy pierwszy gniew papy dobrodzieja przed rozsądzeniem sprawy naszéj czy po rozsądzeniu przeminie.

— Co do mnie, chyba mojego trupa zniesławi, — wyrzekł śmiało były porucznik gwardyi. — Zresztą, koledzy, na cóż się tutaj przyda radzić o przyszłości; — lepiéj, że się zajmiemy teraźniejszością i rozumiem, że potrzeba pomyślić o noclegu; może nam się przyśni cukrowa wieczerza, bo na jawie wszelka o niéj zniknęła nadzieja. Przedewszystkiém dla panny młodéj, tak zaszczytnie dzielącéj naszę niedolę, zbieram składkę z sukien waszych na zrobienie miękkiego i ciepłego posłania, bo tutaj zimno, jak gdyby pod północnym biegunem, — a byłoby hańbą, gdyby panna Katarzyna pośród nas umarzła.

— Za pozwoleniem jaśnie panów, chybaby pierwéj należało świecę zapalić.

— Józefie! i ty tutaj?

— A gdzież mam być?... zajęli nas z końmi i z powozami na dziedziniec, stangretów i postyliona zamknęli na lamuzie a mnie z pana hrabiego

lokajem, ponieważ liberyi nie mamy, poprowadzili z panami.

— A to wybornie; prawda, że tobie oddałem zapałki i sześć świec stearynowych, które mieliśmy, wjeżdżając do lasu, w latarniach zapalić.

— Jaśnie panie, tutaj się lepiéj przydadzą, bo ciemno, jak w miechu. — Po tych wyrazach Józef niebawem więzienie dwiema rozpalonemi świecami owidnił; — lecz jakże rozkoszne było wszystkich podziwienie, gdy na szerokiéj i długiéj tarcicy, przymocowanéj do ściany, ujrzeli — kilkadziesiąt talerzy z galaretami, z kremem z rozmaitemi cukrami i słodyczami, z najwytworniejszemi owocami, ciastami w tortach i w piramidach, ozdobionych cyfrą niedoszłych państwa młodych, a na domiar cudownéj niespodzianki pod tym magazynem słodyczy stało w dwóch poważnych szeregach po 12 butelek omszałego węgrzyna i drugie tyle szampańskiego.

— Cóż się to znaczy? — zawołał, nieposiadając się z radości, trzęsący się od zimna porucznik i jednocześnie paznogciami wydrapywał korek z pochwyconéj z brzega butelki omszałéj.

— Domyślam się, — z łagodnym uśmiechem wyrzekła panna Katarzyna, — że pan Sympliciusz Rzeszotko na spodziewane jutrzejsze gody cukrową kolacyą mimo wiedzy rodziców moich z Warszawy sprowadził i, zniósłszy się z ogrodnikiem tutaj ją umieścił.

— «Bravo! Bravissime! niech żyje Sympluś!» — krzyknęli wszyscy więźniowie, a hrabicz, poskoczywszy po talerz z piramidą, wyrwał z dzioba cukrowemu gołąbkowi cyfrę S. R. i o ziemię ją roztrącił, — cyfrę zaś K. R. oddał Julianowi, mówiąc: «Złamanie téj cyfry do pana młodego należy». — W jednéj chwili przecudny zapach starego tokaju napełnił loch cały, szampan się pienił, talerze przechodziły z ręki do ręki i nie zadługo najweselsza radość po całém rozbiegła się gronie.

Jak długo trwała uczta, zapewnić nie jestem w stanie, — to tylko pewno, że gdy w niedzielę o 10 wieczorem na powtarzane rozsądne przedstawienia pana Dymalskiego, skruszony rozpaczą o życie swéj córki pan Rozdętowicz więźniów z lodowni do dworu sprowadzić rozkazał, — wyprawion w tym celu ekonom, z najgłupszą w świecie miną do pokoju powrócił, donosząc, że 7 panów, których wczoraj w lodowni zamknął, nadto i pan Kręcicki pomiędzy mnóstwem próżnych talerzy i butelek śpią jak zabici, a że pannę Katarzynę, ubraną w płaszcz męzki i w aksamitną czapkę z rydelkiem, zastał z nagryzionym ananasem w ręku, czuwającą nad nimi.

— «Acan oszalał!» — krzyknął z gniewem pan Rozdętowicz. — «To moja cukrowa kolacya!» — zawołał Sympliciusz. — W tęż chwilę wbiegła do pokoju Kasia i do nóg ojcu upadła.

Gniew rodziców, łzy córki, prośby państwa Dymalskich, niechaj kto inny opisze; ja za ucie-

kającym ze wstydu Sympliciuszem do Gapiejowic z pocieszeniem jadę i do Chawłodna nie powrócę, chyba za 3 tygodnie na ślub Kręcickiego, który z najfatalniejszéj przygody najszczęśliwiéj się wykręcił, — bo przebaczenie państwa Rozdętowiczów w najpożądańszéj zupełności pozyskał.

Ktokolwiek z czytelników większéj części szczegółów téj powiastki za prawdę nie przyjmie, winien dać złp. 5 na dom głuchoniemych w Warszawie.

O PIORUNACH.

DWA NADZWYCZAJ PRAWDZIWE ZDARZENIA.

Gdybym na własne nie słyszał uszy, nie byłbym wierzył; — przecież w mojéj obecności pan Zdzisław i pan Witold następną prowadzili mowę:

Zdzisław. Noc była parna; od wschodu słońca gorąco, następnie gwałtowny upał, około południa zdawało się, że ogień z nieba leci; rośliny powiędły; śpiew ptaków ucichł; zwierz dziki w gęstych zaroślach chłodnego szukał schronienia. — Na obszernéj niwie wrzeszczał rozgłośném gardłem karbowy: «Daléj, daléj, żywo!» i tysiące kropel krwawego potu oblewało ciężką pracą wycieńczone ciała żniwiarzy. Niemowlęta, na utkwionych

w ziemi drążkach w grubéj zawieszone płachcie, po długim i bezskutecznym płaczu za pokarmem matczynym, anielskie spojrzenia mimo wiedzy w niebo unosząc — wreszcie umilkły. Z poza lasu czarna wystąpiła chmura; wiatr począł się nagle wzmagać, bezprzestanny grzmot i błyskawica okropną zapowiadały burzę. — Od wioski na spienionym koniu pędził dziedzic Tarlina, Kazimierz Rosowiecki, cudnéj urody młodzieniec; — budowa jego ciała doskonałéj piękności, w błękitnych oczach jakoby wrodzona śmiałość, na świeżych licach piętno zdrowia i siły, na ustach wyraz dobroci, ubiór miał lekki i bez przesady, — wogóle dziwnie do mnie podobien. — Ledwo że pierwszych dosięgnął zagonów «Do domu! do domu!» zawołał;— i wnet pobiegły matki, tuląc spragnione dzieci do piersi; chłopi błogosławiąc dobremu panu, szli zwolna za niemi! — Wkrótce téż potém grad pokrył pola, deszcz ulewny zaciemnił widnokrąg, — pioruny biły z przeraźliwym łoskotem. — «Ignacy! wolno; przez miłosierdzie Boskie wolno! prędką jazdą utworzone pasmo wiatru może piorun sprowadzić».

«Proszę jegomości, co rychléj, to rychléj; pod dachem będzie bezpieczniéj,» odrzekł trwożliwy Ignacy. W tém walka żywiołów zwiększyła się, ziemia zadrżała; grom i bezzwłocznie piorun w prawe tylne koło mojego pojazdu uderzył. «Kaczaj!» krzyknął Ignacy, jam się przeżegnał, konie biegły, ile im sił starczyło. «Ignasiu! stój! stój! jeżeli Boga

masz w sercu stój! ja wysiądę». Ognista wstęga i dym siarczany dalszą wstrzymały prośbę, lewe od przodu koło zdruzgotane zostało w kawałki. — «Stój! stój!» — nie, on jeszcze silniéj konie zacina. Minęliśmy cegielnią, kuźnią, dyszel we wrota stajenne uderzył; — rozwarły się na roścież i na pół żywy ujrzałem się pod pożądanym przez Ignacego dachem; pojazd stracił wreszcie równowagę, wywrócił się, a ja wysypałem się na ziemię.

Witold. Więc pan dobrodziéj na dwóch tylko kołach wjechałeś do stajni?

Zdzisław. Tak jest, łaskawy panie, na dwóch i to na jedném tylném i na jedném przodkowém, na lewém i na prawém, przez co równowaga zachowana być mogła.

Witold. Dalekoż było od karczmy, gdy pierwszy uderzył piorun?

Zdzisław. Najmniéj, żebym nie skłamał, ukraińskiéj mili ćwierć dobra, — pocztowéj była połowa, — i może jeszcze kroków kilkanaście.

Witold. Zazdroszczę panu dobrodziejowi tego wypadku; mnie, co tak bardzo lubię pioruny, jeden raz dopiéro coś podobnego w życiu przytrafiło się. — Będzie temu lat pięć, gdym na łaskawy rozkaz ciotki mojéj, pani Z..... do Cichostronia przyjechał. Na św. Emilią spodziewano się gości. W lipcu nie wolno do czworonożnego strzelać zwierza, więc poszedłem na wodne ptastwo, iżby cioci na jéj imieniny myśliwską zrobić niespodziankę, zwłaszcza że ciocia dobrodziejka bardzo lubiła

bekasy. — Zaopatrzony we wszystko, co na dzień cały polowania jest potrzebném, wyszedłem z pałacu jeszcze przed wschodem słońca. Dzień był przepyszny; — łąki i gaje, chłodną rosą zwilżone, wydawały aromatyczną woń, którą tylko czuć ale jéj opisać nie można; — o! pamiętam, cudny, boski to był poranek! Drobne ptaszyny, na lekkiém skrzydle w nadpowietrzne wzbite szlaki, piękność przyrodzenia głosiły; — bociuś na niebotycznym dębie dopiero co klekotać począł; — strwożony zając w obrane miejsce kamieniem przypadł; — na purpurowe obłoki wtoczył się złocisty wóz słońca, a wedle Kopernika ziemia raczyła się na osi w ten punkt przechylić, żem cały szkarłat wschodu zobaczył. — Nie umiał cenić tak wspaniałego widoku Tyraz, wyżeł mój, bo wietrząc zwierzynę, na jeziorko popłynął. Podrywa się cyranka, jedna, druga, trzecia, czwarta i dziesiąta; strzeliłem na zakręcie ich lotu, siedm spadło, pies przyniósł do nogi, przytroczyłem i idę daléj; — ale pocóż pana dobrodzieja nudzić, — przed godziną 9-tą miałem przy torbie 24 cyranek, 6 wielkich kaczorów, 30 krzyków i 8 dubeltów.

Zdzisław. O! wierzę, wierzę! bo ja raz przez jednę godzinę...

Witold. Proszę nie przerywać; nie o to rzecz idzie; gdym, mówię, 68 sztuk ubił, spocząłem na pobliskim pagórku, wyżłowi rzuciłem chleba, sam napiłem się wódeczki i utrudzony pracą mimowolnie na słodko zasnąłem.

Co to jest, panie dobrodzieju, namiętność! i we śnie strzelam, morduję zwierzynę; — już nie pamiętam, ilem ja to wówczas nastrzelał, nie wiem także, jak długo poiłem się słodką snu karmą, gdy mnie ciężki grzmot przebudził; — od zachodu toczy się ogniem ziejąca nawałnica, szum ją okropny poprzedzał, — wicher z korzeni rwał drzewo, piasku tumany biły mi w oczy. — Nie naśladując pana dobrodzieja, któren się bałeś piorunów, — przeciwnie podziwiając widok gniewnego nieba, z zachwytem przypatrywałem się, jak szybki do mnie zbliżył się uragan ognia i wody, — obnażoną pierś wystawiłem naprzeciw burzy, — roztwartémi usty połykałem wiatr, który może przed godziną o mil 30 łono mojéj pieścił kochanki, — i tak poetycznym uniesion zapałem, czekam rychłoli nad moję głowę nadejdzie łoskot piorunów; gdy wreszcie wielkości strusiego jaja krople na czoło moje upadły a wkrótce deszcz strumieniami się puścił. Panie Zdzisławie! nie uwierzysz, jaka to rozkosz widzieć wśród rozległego pola na około siebie, nad sobą i przed sobą — nic więcéj tylko ulewny deszcz. Niecierpliwiłem się wprawdzie, że pioruny zdala odemnie padały; —jam pragnął doświadczyć wrażenia blisko — jak najbliżéj uderzającego pioruna.

Zdzisław. Istotnie WPan Dobrodziéj do bardzo śmiałych policzonym być możesz.

Witold. Jest to błędem naszéj rodziny; — mój nieboszczyk stryj w czasie najgwałtowniejszéj bu-

rzy zwykł wchodzić na dach swojego pałacu i trzymał się zawsze lewą ręką konduktora, aby miłego doznać wstrząśnienia w razie, gdy piorun uderzył; radzili mu to nawet lekarze na zatwardzenie wątroby.

Zdzisław. Prawdziwie osobliwszy rodzaj przyjemności i leczenia się; — ale jakżeż było wówczas na polowaniu?

Witold. Oto! kiedy złorzeczę nieżyczliwemu kierunkowi chmury, która mi żadnego nie naprowadziła pioruna, — na raz zdawało się, że ktoś wiedeńską kitajkę nad memi uszami rozdziera i, czy pan Dobrodziéj uwierzysz? piorun w prawą lufę mojéj strzelby uderzył!

Zdzisław. To pan dobrodziéj zapewne rękę, a w najszczęśliwszym przypadku strzelbę utraciłeś?

Witold. Bynajmniéj; jak pan widzisz, mam ręce całe, — a ze strzelbą inaczéj się stało. Lecz mówiąc daléj; — ha! pomyślałem sobie raz przecie życzenie moje spełnioném zostało; — gdy wtém trzęsie się ziemia jak galareta, łamie się ogromne niebios sklepienie i drugi piorun wpadł w lewą lufę. Patrzę, — newki przywarte, proch nieporuszony, oczywiście obadwa pioruny albo wśród pakuł albo wśród śrótu zostały, niedotknąwszy prochu. Po nagłym burzy przelocie, słońce żywszym zaświeciło promieniem i prócz kontuzyi, któréj u nóg moich tulący się wierny Tyras w ogon był dostał, bez najmniejszego szwanku zdrów, wesół i cały, — dźwigając 24 cyranek, 6 wielkich kaczorów, 30 krzy-

ków, 8 dubeltów i — dwa pioruny, powróciłem do cioci.

Zdzisław. Być może, ale i wierzyć trudno.

Witold. Jeżeli pan dobrodziéj pozwolisz, pokażę tę samą dubeltówkę; mam ją tutaj ze sobą, możemy nawet jeden piorun wystrzelić.

Zdzisław. Jak to? do téj chwili są jeszcze w téj fuzyi te same pioruny?...

Witold. Tak jest, panie dobrodzieju! pozwolę panu dobrodziejowi jeden wystrzelić. Hej! Janie!...

Zdzisław. Nie, nie potrzeba — ja wierzę panu dobrodziejowi co do słowa, — nie wątpię, — szkodaby było pozbawić się takiéj osobliwości.

Witold. Ależ jeden tylko wystrzelimy.

Zdzisław. O nie — nie, panie Witoldzie! ja wierzę, — ja znam pioruny i wiem, że się zdarzają nadzwyczajne przypadki, którym tylko głupcy wiary dać nie chcą. — Co za szczęście, żem ja wtenczas pod Tarlinem żadnéj nie miał strzelby.

Witold. Ale byłbyś, panie Zdzisławie, dwóch kół nie postradał...

Pan Zdzisław powiedział, że się zdarzają wypadki, którym głupcy wiary dać nie chcą.

Jak się komu podoba, — co do mnie uwierzyłem zupełnie.

POMYŁKI.

Jeden z moich sąsiadów pokrewnych, który na winotrysk chorował, przypomniał sobie w najsroższym bólu — mówię w najsroższym, bom już wielokrotnie słyszał, że lubo winotrysk, czyli szanowna podagra po palcach tylko łechce, to przecież sprawia cierpienia srogie, sroższe i najsroższe; ale wracam do rzeczy: — on tedy chory wujaszek przypomniał sobie, że należało się ostatecznie rozmówić z panem Jerzym Rzepnickim, który życzył nabyć od niego prawo do spadku po śp. ks. biskupie K...

— Auguście, proszę Cię, bądź łaskaw odwiedzić dzisiaj p. Rzepnickiego, mieszka przy ulicy Szczygléj w domu pana Cwajera na drugiém piętrze; oświadcz mu, że — królowo nieba i ziemi, boli! boli! aj! aj!... że tedy ja ciebie upoważniam — Łukaszu! dawaj świeże okładanie — do zawarcia — o jerum, jerum! a czy mnie Bóg ciężko skarał, — ugody, jaką tylko za dobrą uznasz — nie wytrzymam — przecież znasz cały stan rzeczy. — Łukaszu! poproś pana konsyliarza chociaż na chwilkę — od 10,000 złp. nie odstępuj — powiedz mu, iżby przyjść raczył, bo oszaleję — pieniądze są mi potrzebne, staraj się więc skończyć — czegóż stoisz dardanie? mówiłem — jerum! jerum! jerum! — proś go, aby do mnie zajrzał — więc

tedy, panie Auguście, zrób, jak ci się najlepiéj — ssy! — wydawać będzie.

Ja do Rzepnickiego, Łukasz do doktora wyszliśmy razem.

O Szczyglą ulicę niedługom się dopytywał, ale o panu Rzepnickim nikt nie słyszał, nazwiska właściciela domu zapomniałem na śmierć; chodzę więc i pytam od drzwi do drzwi «Czy tu nie mieszka pan Jerzy Rzepnicki, podobno w domu pana Tyrasa...» — Nie mieszka, proszę zamknąć. — A mróz 20 stopni dochodził; — zziębły, posłyszawszy rozmaite grzeczności, nie osobliwie obowiązujące, już miałem do wujaszka z niczém powracać, kiedy jakiś poczciwy z nieszporów wracający starzec, który, lubo tępy miał słuch, ale moje wyraźne na ucho zapytanie zrozumiał, — z dobrocią odrzekł:

— Ha, asindzi zapewne się mylisz — to nie pan Jerzy Rzepnicki, ale pan Jerzy Brukwicki mieszka w domu pana Cwajera tu naprzeciwko na pierwszém piętrze.

— Tak, tak u Cwajera, — dziękuję, bardzo dziękuję.

— Za mało.

I pobiegłem do wskazanego domu, pewny, że wujaszek z bólu nazwiska przemienił, — zwłaszcza, że brukiew i rzepa są jarzyny blisko ze sobą spokrewnione; — znałem zaś stan rzeczy spadku po ś. p. ks. biskupie K... ale o Rzepnickim, mającym prawo wuja mojego nabywać, słyszałem dzisiaj po

raz pierwszy. — Niemylnie będzie to Brukwicki, pomyślałem sobie, dzwoniąc na 1-szém piętrze.

Z wygodnego krzesła powstał na moje przywitanie urodziwy mężczyzna i przedewszystkiém siedzieć prosił.

— Jestem Au. Wi.; przychodzę z polecenia wuja mojego, pana stolnika Myszkowskiego, iżbym się z szanownym panem dobrodziejem w wiadomym interesie rozmówił; pan stolnik, będąc cierpiącym nie mógł przybyć osobiście, mnie więc do ostatecznego ukończenia upoważnił.

— Ja już wczoraj ostatnią cenę podałem i rozumiem, że pan Szczurkowski, chciałem mówić Myszkowski, jak się dowiaduję, stolnik a szanowny wuj pana dobrodzieja, uznać we mnie winien bardzo szczodrego nabywcę; — wątpię, aby kto inny więcéj dać mógł. Tysiąc pięćset złp. za przedmiot nie ciekawy, potrzebujący znacznego nakładu, jest...

— Jakto? pan dobrodziéj tylko 1,500 zła. dać chcesz?

— Ani grosza więcéj.

— Mam polecone od 10,000 złp. nie odstępować, znajduję więc tak znaczną różnicę, że...

— Dziesięć tysięcy! a przecież szanowny wuj pana dobrodzieja spuścił mi już za 2,000 złp.

— Chybaby się w czasie napadu bólów dzisiaj pomylił.

— O! nie wątpię, panie dobrodzieju, że jest pomyłka.

Podczas naszéj rozmowy w przyległym pokoju upadło dziecię pana Brukwickiego i przeraźliwie płakać poczęło; widziałem troskliwą niespokojność ojca, pożegnałem się więc i pospieszyłem do wuja, iżby się o pomyłce w daném mi poleceniu przekonać.

Za powrotem zastałem wujaszka dobrodzieja. krzyczącego w niebogłosy; — obecny konsyliarz zalecał cierpliwość, — Łukasz nuzię owijał.

— A cóż, mówiłeś z nim? — Ośle! nie tak mocno!

— Mówiłem, wujaszku dobrodzieju, ale zaszła pomyłka ze strony kochanego wujaszka.

— Jaka pomyłka?...

— Wujaszek dobrodziéj oznaczył dzisiaj 10,000 złp. jako ilość, od któréj odstępować nie miałem.

— Tak jest, pozostaje mu 4,000 kapitału i trzechletnie procenta w zysku.

— Ale on twierdzi, że przedmiot nie ciekawy, że potrzeba znacznego nakładu...

— Co to nie ciekawy! — jakiego nakładu?

Doktór się oddalił; — ja widząc, że wujowi, skłonnemu do gniewu, żyły na czoło wystąpiły, nie chcąc się przyznać, żem tych słów pana Brukwickiego nie zrozumiał, tak daléj rzecz improwizowałem:

— Nie ciekawy — to jest, że na tém kupnie wiele zyskać nie może, że jeszcze potrzeba ponieść wiele opłat i z tych powodów nie 2,000 złp.

jak wuj dobrodziéj wczoraj od niego żądałeś, ale tylko 1,500 złp. dać chce.

— Kto? co? ja 2,000 złp. żądałem? — zerwał się wujaszek na równe nogi, wyskoczył z łóżka, potknął się i upadł jak długi na ziemię. Krzyk, z bólu i ze złości pochodzący zapełnił dom cały, — przybiegli sąsiedzi, — Łukasz trząsł się ze strachu, — jam oniemiał. Z trudnością położyliśmy chorego na łóżko, — nieboże zacięło zęby, — oczy w słup postawiło i rozumieliśmy że skona, kiedy nagle zawołał:

— Pisz mi natychmiast do tego łotra. — Poskoczyłem do stolika i, chwytając za pióro, byłem w pogotowiu.

— Mości Panie Rzepnicki!

— «Brukwicki» wujaszku!

— Rzepnicki mówię, — wrzasnął wujaszek i dyktował daléj — (jam przecież napisał Brukwicki):

— «Nie sądziłem nigdy, abyś, panie ssy — ssy diabli podagrę stworzyli — tak dalece pozwalał sobie uzuchwalać się w żartach, — ssy — najniedogodniéj do méj osoby zastósowanych. — Chęć uwiedzenia mojego siostrzeńca, którego zapewniłeś, że — ssy — nie wytrzymam, jak mi Bóg miły — tylko 2,000 złp. żądałem, wykrywa jego charakter w świetle, więcéj niż niekorzystném, — bo osłania jego nikczemność lichwiarską. — Pospieszam więc donieść panu, że nietylko za 2,000, ale teraz i za 10,000 i za żadną cenę praw moich panu nie odstąpię. Proszę nadto zapewnić się, że przykro mi

jest — ssy! — żem z panem znajomość zabrał, — ssy — od której zechciéj mnie pan uwolnić, — jak ja — ssy — pana zupełnie od méj uwalniam. — Dnia 20 Decembris 1826 r. — podpisz: Myszkowski stolnik, i niechaj Łukasz natychmiast odniesie.

Powyższy list z pominięciem wykrzykników do podagry zapieczętowałem i w przekonaniu, że wujaszek z bólu znów nazwiska bliskobrzmiące przemienia — panu Brukwickiemu odesłałem.

W godzinę powraca Łukasz z odpowiedzią.

— Czytaj, panie Auguście co ten błazen napisał!

— Wielmożnemu JMC. Panu Szczurkowskiemu, Stolnikowi, Wielmożnemu panu Dobrodziejowi — w miejscu. — Omylił się co do nazwiska, uczynił to już i ustnie, gdym był u niego.

— Niechaj jeno ozdrowieję, już ja go nauczę strzedz się takich omyłek. Żeby mi się w myszą jamę schował — jak Bóg Bogiem — znajdę — a to mi mości dobrodzieju — urwisz lada co...

Wielmożny Mości Dobrodzieju!

Napaść WM. Pana Dobrodzieja jest dla mnie niezrozumiałą, — honor mój przecież nie dozwala rzeczy téj bez żądania zadośćuczynienia pominąć; — przedsięwezmę więc kroki, które go dostatecznie przekonają, że mnie bezkarnie obrażać nie wolno. — Zarzut, że *podstępnie* zapewniałem, jakobyś WM. Pan Dobrodziéj wczoraj tylko 2,000 złp. żądał, dowodzi albo jego krótkiéj pamięci, lub téż jest

skutkiem błędu źle wyrachowanych zamiarów wywyższenia wartości miernego dzieła. Ograniczam się na tych kilku wyrazach z obawy, abym w sprawiedliwém oburzeniu granic przyzwoitości nie przestąpił, bo tylko na drodze honorowéj obrazy mojego honoru poszukiwać nawykły jestem.

$^{20}/_{12}$ 26 *Jerzy Brukwicki.*

Nie dosłyszał zapewne wujaszek nazwiska, bo podniósłszy się z leżenia, zawołał:

— A to mi bezczelnik ów tedy, mości dobrodzieju, psubrat Rzepnicki! — on jeszcze zadość uczynienia żąda? — on o honorze bełkoce? patrzaj... gdybym nie miał jego własnoręcznych listów, wmówiłby we mnie, mości dobrodzieju, że ja za 2,000 sprzedać chciałem. Jak Bóg Bogiem takiej bezczelności nie daruję.

Jeszcze ostatni wyraz z ust wujaszka nie spłynął, otwierają się drzwi, wchodzi człowiek wysoki chudy, z ryżym włosem, z nieśmiałém wejrzeniem lecz z grubą trzciną w ręku, u góry i u dołu okutą.

Na widok tego jegomości schwycił wujaszek za karabelę, która za łóżkiem stała i dobył z pochwy i podniósł do góry, jakoby czekając na zbliżenie się zuchwalca. — Z iskrzących oczu wujaszka wyczytałem, że o żartach nie myśli; rozumiejąc zatém, iż sprawa ta jest niebezpieczną, nie mając co lepszego — krzesło oburącz ująłem i w groźnéj

stanąłem postaci. Stanął i przybyły, popatrzył się na nas, lewo w tył skręcił i jednym krokiem już był u drzwi, ale go Łukasz na rozkaz swojego pana: «trzymaj» za kołnierz i za gardło przyczłapił.

Zaprawdę, moje nieudolne pióro skreślić tego nie może, najdoskonalszy artysta dramatyczny zaledwoby tę całą grę twarzy nieszczęśliwego wyraził, jako ryżowłosy jegomość ze silnéj Łukasza dłoni wytwarzał: — oczy śmigom wietrznego młyna podrzeźniając, szybkiém kołem biegały; ząb o ząb tłukł się jak na tartaku; — drgające usta chęć do mowy zdradzały, ale nieruchomy język nie przychodził w pomoc; — cienkie zaś nogi trzęsły się jak wiatrem miotana trzcina; — długie ręce cisnęły kieszeń do piersi, kieszeń papierami ładowną.

— Więc to ja 2,000 złp. żądałem? więc waszmość jeszcze zadośćuczynienie mieć chcesz i moje mieszkanie nachodzisz? — wymówił z gniewem wujaszek, zadziawszy na siebie ferezyą, podpierając się karabelą, do nieboraka się zbliżył. Łukasz na rozkaz pana zwolnił dłoni, — ryżowłosy ciężko odetchnął i do nóg się wuja mojego rzucił, wołając: — «weź, panie, pieniądze a daruj życie!»

— Ja twoje pieniądze! życie! — czyś panie oszalał!..! — Stawając w obronie mej własnéj osoby, życia cię jeszcze pozbawiać nie myślę; — ale za najście domu, zaiste, godzien jesteś wszelkiéj surowości prawa.

— A toćże ja nie nachodzę — tylko wedle

przyrzeczenia przybyłem z pieniądzmi, iżby interes ukończyć.

— Po napisaniu odgróżek?... więc i własnego listu wyprzeć się zdolnym będziesz?

— Jakiego listu?...

Tu wujaszek list co dopiero odebrany, pod nos mu przytknął.

— Panie dobrodzieju! to nie moje pismo; — to pan Brukwicki, właściciel księgarni w tymże co i ja domu mieszkający, ośmielił się wielmożnemu panu dobrodziejowi ubliżyć.

Wujaszek spojrzał na podpis, — jam zadrżał. Rzecz się wyjaśniła, — niestety! dla pana Rzepnickiego nieco zapóźno. Tysiące przez stolnika uścisków, przepraszań zastąpiło gorliwą służbistość Łukasza.

W godzinę potém wujaszek zapominając podagry, na klęczkach niemal pił za zdrowie niesłusznie pokrzywdzonego. Rejent spisywał przelew praw stolnika za sumę 9,000 złp. na rzecz p. Rzepnickiego z całkowitego spadku po śp. ks. biskupie K... jaki dla Myszkowskiego przypadał, — a przezemnie uproszony na świadka podwójnéj zgody a do trzeciéj osobiście należący Brukwicki zanosił się od śmiechu, że autora Szczurkowskiego za stolnika Myszkowskiego pomieniał. Jam był głównie całego zamięszania przyczyną; za karę więc posłano mnie i po autora. Znalazłem go szczęśliwie, nie dał się długo prosić, — i późno w noc Brukwicki, Rzepnicki, Myszkowski i Szczurkowski i dzielny

w podobnéj okoliczności rejent N... pomyłkę moją w starym węgrzynie uwielbiali; — dopomagałem, ile sił młodzieńczych starczyło.

UŁAMEK ZE STARÉJ GAWĘDY.

„Trafił frant na franta
I wyrznął mu kuranta“.
(Z dawnéj tragedyi).

Nie płacz, Marysiu! a toćże on z żoną i z maluczką druchną twoją dobił się żyw i cały w spokojne, a jak donoszą w książce, uchronie i pono mu do śmierci biédy nie będzie.

— Więc z pewnością wuj nasz królewskie dziecię w żłobie znalazł? [1])

— Moja córko! i Dzieciątko Jezus w żłobie złożoném było. Kto wie może téż i królewnie za to niemowlęce tułactwo Bóg świetną przyszłość przeznaczył i po długiem życiu do chwały ją swojéj zawezwie.

[1]) Jest to mowa o Maryi, córce Stanisława Leszczyńskiego, późniéj żonie Ludwika XV, króla fr., którą w ucieczce z przyczyny nagłego napadu jazdy nieprzyjacielskiéj wpośród trwogi i pośpiechu z żłobu, gdzie maleńka jeszcze podówczas w poduszce złożoną była wziąść zapomniano. Dopiéro po ujechaniu pół mili spostrzega królowa, że jéj

— Ojcze, powiedzcie, ażali to prawda, że król był tak miłego oblicza, iż patrząc się na niego, ledwie że serce nie wyskoczyło...

— Już tego i poganin nie zaprzeczy, rybeńko, że nasz Leszczyński ślicznością osoby swojéj jaśniał pomiędzy panami jak księżyc na nowiu wpośród gwiazd pomniejszych; — a pod czaszką mądrość a w piersi miał poczciwość. — Bóg daj! aby ten Sas chocia w części był mu podobien.

I rzewnie stary szlachcic płakać począł a matka do córki rzekła: «Także aspanna niema co lepszego robić jeno rodzica smucić wspomnieniem naszego pana».

— Jejmość nie strofuj mi dziecka; Marychna wie dobrze, że ojcu najmiléj, kiedy o królu jegomości mówić może; a czyliż to nie król Leszczyński, który nam przywrócił rodzinne sioło, — wszakżeż wszystko, co posiadamy, jemu winni jesteśmy, — ba! nawet i ten sygnet jego jest darem.

Sędziwy Borzęcki ucałował na palcu swoim

---

najmilsze jedyne dziecię pozostało w stajni. Płacz i rozpacz królowéj granic nie znały; Kazimierz Borzęcki, jeden z obywateli województwa poznańskiego, któren do orszaku straży należał, zawraca konia, wbiega do napełnionéj dragonami nieprzyjacielskimi stajni, porywa śpiącą Marynię i szczęśliwie z nią do matki powraca. Poniatowskiemu czyn ten wielu przypisuje; z papierów przecież prababki mojej przekonałem się, że rzeczywiście Borzęcki był tym szlachetnym i odważnym zbawcą dziecięcia.

rzadkiéj piękności krwawnik suto, w czyste złoto objęty i, otarłszy zroszone powieki, w następujące odezwał się słowa:

— Kiedyśmy naonczas z wojewodą poznańskim do Warszawy jechali, dwór cały poszedł przodem, iżby na nas w Pyzdrach noclegiem czekać; mnie jeno pan wojewoda w swojéj kolasie zatrzymał, mieliśmy bowiem niespodzianie odwiedzić po drodze brata matki twojéj pana Boleszę, którego pan wojewoda serdecznie miłował; — Aliści w Środzie zawiadomił nas pan Krzycki, że Bolesza dniem pierwéj do stolicy się udał, — zaczém upraszał, abyśmy u niego obiadek szlachecki spożyli. Ale że u pana Krzyckiego nie po szlachecku ino po pańsku było, więc zmierzch już zapadł, gdy pan wojewoda, wyprosiwszy się od ostatniego kielicha, w dalszą się puścił podróż.

Z mocnego drzymania zbudził nas hajduk Piotrowski nie bardzo miłém doniesieniem, żeśmy zabłądzili. Pan wojewoda, któren miał wiele przenikliwości, obejrzał się po lesie, miarkował się po gwiazdach i kazał jechać drożyną na prawo, mówiąc: Leszczyńscy na lewo nigdy nie jeżdżą. — I Bóg myśl dobrą przyjął łaskawie, bośmy za chwilę karczmę nad polem ujrzeli, pełno jasności w oknach mającą. Wybiegł do nas żydek z rudą brodą, w czarnym łapserdaku i nizko się kłaniając, zapraszał na nocleg.

— Daleko ztąd do Pyzdr?

— Tak daleko jak do Środy — jedna droga,

dobremi końmi za 4 godziny dojedzie, ale najgorzéj, że jest mylne jechanie.

— Ha! cóż począć, trudno po nocy biesów gonić! nocujmy panie bracie — rzekł wojewoda, a jam na to chętnie przystał, bo mnie za katy sen morzył.

W izbie karczemnéj był jakiś wojskowy graf saski, — na piernatach spał już na dobre Niemiec, ale jego kalwakata, składająca się po większéj części z szlachty Mazurów, osiadła do koła piec i komin a popijając miodek niezgorszego zapachu, z cicha gwarzyli. — Proszę waszmość panów braci, zrobić nieco miejsca dla pana wojewody poznańskiego — do najbliższych moję mowę obróciłem; — lecz owe capy nietylko że się z miejsca nie ruszyły, ale jeden z nich rubasznym głosem odpowiedział: «Pan poznański usiedział się w podróży, a że i młody [1]), może się też trochę i po izbie przechodzić», — i całą chmarą rozśmiali się na głos, aż się niemiecki graf obudził. Spojrzałem się na kord i byłbym ich, mospanie, niebawem *mores* nauczył, ale pomiarkował wojewoda moje chcenie bo schwyciwszy mnie za rękę, szepnął mi na ucho:

---

[1]) Leszczyński w młodym bardzo wieku został wojewodą, o co się szpakowata szlachta mocno sierdziła, mawiając „A toćże jemu do szkół jeszcze chodzić“. Stanisław Leszczyński urodził się we Lwowie 20 października 1677 r. Wskutek zgorzałych na nim sukien umarł r. 1766 21 lutego, mając lat 89.

«Daj waszmość pokój; nie przystałoby dla mnie, abym po karczmach wojował». Korciło mnie straszliwie, że się te drwale rozsiadły przed ogniem, a zdało by się panu wojewodzie ogrzać, bo go wiatr mroźny po nosie i po uszach srodze otrzepał; co do mnie, twardszego lica, anim pamiętał, że Gumprecht w Poznaniu 20 stopni mrozu oznajmił. — Przecież ja was tu zażyję, — pomyślałem sobie,— niepróżno Jezuici zwali mnie figlarzem; zagadałem więc do arendarza — Masz żydku jaja?

— Mam, jaśnie panie.

— A będzie ich kupa?

— Będzie 2 mędle.

— Owóż tedy wbijesz je na słoninę i zaniesiesz dla naszych koni.

— Dla koni?

— A przecież nie dla psów, bo psiarni za sobą nie prowadzimy.

— Bez urazy jw. pana, to pańskie konie jajkami się popasają?

— Czyś, żydzie, nie słyszał, że perskim ogierom należy przed owsem dać świeżych jaj, na słoninę wbitych?

— Przyznam się jw. panu, że jak żywie, o tém nie słyszałem; ale ja nie mam słoniny.

— A to weź gęsiej tłustości. — Mazury wywalili na wierzch oczy, jakby mnie niemi pożreć chcieli: skoczyło mosanie, kilku do stajni, za nimi drudzy i w mgnieniu oka żaden się w izbie nie został.

Wtedy rozpostarłszy obszerną burkę dla woje-

wody, zrobiłem mu wygodne i przyzwoite siedzenie przy piecu, sam przy kominie doglądałem żydówki, iżby porządnie jaja usmażyła, co też nie wiele czasu zabrało.

— Ojcze! a masztalerze nie powiedzieli Mazurom, że konie pana wojewody jaj nie jedzą?

— Nie powiedzieli, bom pierwéj Piotrowskiego pouczył, co czynić mają, jak się do stajni Mazury zbiegną. Ale tymczasem tedy mówiąc daléj — wyniosła żydówka do stajni na cynowym półmisku owe smażone jaja. Mazury otoczyli żłób, żydowięta powłaziły na drabiny, aby się lepiéj przyglądać mogły, arendarz dwie latarnie zapalił i już zmęczone konie mieli jajami częstować, gdy się któremuś z nich przypomniało, aby na to widowisko i saskiego grafa zawezwać.

Zawiadomiony o tém Niemiec nie chciał wierzyć, iżby konie smażone jaja jeść miały; ale gdy mu się starszy Mazur na matkę częstochowską zaklął, że istotnie konie wojewody jaja jeść będą, podniósł się i pan graf z leżenia, włożył na się watowany tołubek, na nogi wycięte u pięty trzewiczki, głowę otulił białym bawełnianym woreczkiem, na którego śpiczastym końcu maleńki sterczał kutasik, — u Niemców mosanie nazywają, takie nagłowie *Szlafmyc*[1]) — i tak wystrojony poszedł takoż na widowisko.

[1]) Nasi naddziadowie nie znali ani szlafroków, ani pantofli, ani szlafmyc, dlatego to dziadek mojéj matki tak obszernie szlafmycę opisywał.

Pan wojewoda śmiał się do woli lecz zarazem straszył mnie, że skoro Mazury do izby powrócą, zły koniec będzie. Gdy się wojewody o radę pytam, jakąby obronę na zarzuty zwiedzionych Mazurów stawić, ukazał się Piotrowski z płaczem, że konie zapewne z przepędzenia zachorowały, bo jaj jeść nie chcą. Powrócili i widzowie, utyskując nad słabością koni a bardziéj nad tém, że oglądania niesłyszanéj osobliwości pozbawieni zostali. I dopiero gdym ja onę jajecznicę zmiótł z półmiska, wąsy otarł i roześmiał się, pan graf wyrzekł: «Filuta szlachcic poznański!» Panie bracie! że my głupcy, to my głupcy! — ozwał się starszy Mazur, — począł mi się z podełba przypatrywać i już się zbierał do groźnéj odezwy, gdy pan wojewoda na arendarza zawołał «Żydku! dać tu 6 garncy miodu dla panów braci szlachty!» — zdejmując zaś z serdecznego palca ten oto sygnet, powiedział: — «A to, waszmość pan, żeś udatnym fortelem honor młodego wojewody utrzymał, na pamiątkę życzliwym dla mnie afektem przyjąć zechcesz».

Dano smacznego miodu, wypili wszyscy w braterskim kole za zdrowie pana poznańskiego wojewody i w świętéj zgodzie udaliśmy się na spoczynek.

GODZINA ZIMY.

— To więc kadrylem nazywają?
— Kadrylem.
— I czy naumyślnie tak piękne dobrali istoty?
— Naumyślnie.
— Cóż wyobraża ta pani w czarnym aksamicie z diamentowym księżycem?
— Noc.
— Z kimże noc rozmawia?
— Z południem.
— Ach prześliczne jest południe!... ta różnofarbność drogich kamieni, w złotą uwięziona tkankę, cudny czyni odblask, zachwycający sprawia widok i wdzięczną stanowi zgodność.
— Ale do kogóż należą ot! tamte drobne nóżki w starożytnych Rzymian obuwiu?
— Do jesieni.
— A te błyszczące oczy czyjąż własnością?
— Wiosny.
— A obok?
— Które obok?
— To w szkarłatném przeźroczystym ubraniu z łabędziemi przy barkach skrzydłami?
— Wschód słońca.
— Daruj, że cię moją niewiadomością utrudzam; co znaczy ten rój motylków, który zdaje

się być honorową służbą, dla wschodu słońca przeznaczoną?

— Dwojako mogę ci wytłumaczyć, — po pierwsze są to godziny, — powtóre są to najszlachetniejszych rodzin dziewicze córy, dzisiaj dobrowolny orszak dla księżniczki Wandy w dniu jéj urodzin.

— Jeszcze jedno pytanie; — w króciuchnym białym atłasie z srebrzystym puszkiem w około, z takimże kołpaczkiem, perłami ozdobnym, jasnowłose, płomiennego spojrzenia, polotne, najwdzięczniejszéj skromności, urocze dziewczątko...

— Mówisz z zapałem, — na pochwałę zimy mniéj ognia potrzeba.

— Zima!... zamienię ją w wiosnę mojego życia.

I po tych wyrazach dwudziesto-letni Ildefonsik pobiegł do zimy i począł szczebiotać, a ona poczęła gruchać i skrasili się uśmiechem i spojrzeli mile po sobie, w ziemię oczy rzucili i znów po sobie spojrzeli i spletli rączki i puścili się w ogromne koło zamętnego walca.

Podczas wspaniałéj uczty, gdy księżniczka, wschód słońca, czarownemi otoczona godzinami, w towarzystwie dostojnego ojca z kolei do każdéj zbliżyła się damy, iżby za wniesiony na jéj zdrowie toast dotknięciem kieliszka dziękować, — Ildefonsik spostrzegłszy pomiędzy godzinami i zimę, z dziwną naiwnością przyłączył się do orszaku.

Tegoż wieczora Ildefonsik przez swoich przyjaciół godziną zimy nazwanym został.

Ildefonsik był rad z téj nazwy.

Świetny bal u księstwa Radziwiłłów skończył się nad ranem. Ildefonsik w powrocie do domu ściskał mię przez całą drogę, wołając: — «Jestem godziną zimy, jestem godziną zimy!»

W kilka dni później Ildefonsik, pełen radości i rozkwilającego uniesienia opowiadał mi, że był u rodziców zimy, — że lubo go rodzice nie nazbyt mile przyjęli, przecież panna (zima) swoję godzinę życzliwém udarowała oczkiem; — że jest pewnym zwycięztwa... i t. d. W końcu na wszystkie Bogi mnie zaklął i prosił, abym mu list do zimy napisał. Napróżno przedstawiłem niewłaściwość takiego postępowania i zbytniego pośpiechu, wszelkie w téj mierze orzeczenia były bezskuteczne, bo Ildefonsik wiecznym małżeństwa węzłem z zimą połączyć się nie tylko zapragnął, ale jako niecofniony zamiar stanowczo oznaczył.

— Trudna rada, — na upór nie masz lekarstwa; a więc żeń się Ildefonsiku, pomimo, żeś jeszcze z dzieciństwa nie wyrósł; — żeń się z zimą, lecz pamiętaj, żebyś zawcześnie nie stopniał. — Przeznaczeniem naszém jest ród człeczy propagować i krzewić; — jednakże, aby to było najpospieszniejszym życia celem, nie zdaje mi się. — I jakiż to list mieć żądasz?

— Prosiłbym cię o ogniste wyrażenie mojéj miłości; wystaw, że bez zimy żyć nie mogę, że...

— Już wiem — podaj mi sygaro, — spróbuję. — Mając w ów dzień wiele do czynienia, pospiesznem i posuwistém piórem raczéj z pustoty

a bynajmniéj nie w myśli, iżby pismo to na użytek służyło, palnąłem dosłownie, co następuje:

Pani!

Śnieżnym połyskiem Twych wdzięków na burzę afrykańskich uczuć rzucony, — szatą pielgrzyma miłości odziany, stawam przed Tobą, ubóstwiona czarodziejko! po wyrocznią najsłodszego na ziemi obłędu, co zawiódłszy me serce w krainę anielskiego marzenia, zwodniczą nadzieją łudzi, niweczy, kojarzy i w nicość najwznioślejsze bezdroże srogich duszy udręczeń zamienia. Pani! ja ufam potędze Twojego serca, samobójczą dłonią z męskiéj piersi własne jestestwo wydzieram i krwią zbryzgane rzucam na stopnie ołtarza miłości. Ido! droga Ido! na niepewności i rozpaczy cytrze, na czarownym arkadyjskich pasterzy flecie, wylewam pieśń mojéj boleści, nadziei i żarliwéj trwogi. — Precz czarne głowożmijnych obrazów złudzenie! precz mary piekielne! precz znamię wiarołomnéj czułości! — kwiatem niezapomnienia umajona zimo! jam twój do śmierci.

Ildefons, Godzina zimy.

Kreśliłem w Poznaniu o 12 z północy.

Szczęśliwszy nad wszelkie wyrażenie kochanek znalazł list cały od A aż do Ż nadzwyczaj pięknym, unosił się nad moją zdolnością, nie mógł pojąć w jaki sposób tak trafnie, tak silnie jego

namiętną odgadłem duszę; — na twarzy zajaśniała radość, w oku łza błysła i z drżeniem ust najszczerzéj wymówił: «Auguście! ja ci tego do grobowéj nie zapomnę deski!»

— Mniejsza o to — odrzekłem — ale czy istotnie odeślesz?

— Dzisiaj, zaraz, natychmiast; — nie wiem tylko na jakim papierze odpisać?

— Trudny wybór, — to jest sęk właśnie!... kolor biały oznacza niewinność, — różowy miłość, — niebieski stałość, — żółty zazdrość; — nie źle-by było, gdybyś mógł te wszystkie kolory połączyć. bo kochanek i niewinnym i miłośnym i stałym i zazdrosnym być winien.

— Prawda!

— Umiesz malować?

— Umiem.

— Odmaluj więc szlaczek z rzeczonych kolorów w kształcie okalającéj girlandy, — można zaś tę girlandę wielkiém sercem zakończyć a w środku serca umieścisz: «Ildefons, Godzina zimy» — i będzie ładnie i stósownie.

Uścisk serdeczny był niemą ale najwymowniejszą, najżywszą wdzięczności odpowiedzią.

Poczém zamiast czarnego kapelusza, w którym był przyszedł, pochwycił mój biały, — aż po nos nakrył nim maleńką główkę i pędem strzały wyleciał. — Kiedyż go znowu zobaczę?

* * *

Na popasie w Białobrzegach po nad Pilicą, strąciwszy znakomitą cząstkę wybornie sporządzonéj huzarskiéj pieczeni, gdy moje bronowłoki jeszcze wszystkich ziarn wydzielonego im owsa nie policzyły, udałem się na miasto, — i oparty o poręcz mostu, patrzyłem na prąd rzeki, na blizkie tło ciemnego lasu, na zielone pobrzeża, — i wspomnienia lat szczęśliwych razem ze łzą w oku przebiegły. Krągłych roczków już czwarty krzyżyk niezwrotnym polotem ubieżał, — a każda chwila przeszłości niemal od kolebki wiernie na pamięć dążyła: — i pełzanie na czworakach, i igraszki maleńkiego chłopczyka, i swawole studenta, i wielka wiedza upragnionéj emancypacyi młodzieńca, różnofarbnym kobiercem rozpostarły się przed duszą. Wśród tysiąca obrazów stanął i obraz Ildefonsa. — «Cóż się téż dzieje z Godziną zimy?...» jeszcze téj myśli następne nie usunęło wspomnienie, kiedy na most odkryta wjechała bryka. Dwa chude konie pilno poganiał woźnica — naszywana kirezyja świadczyła, że podróżni w krakowskie wracają; — pomiędzy deszczułkami, które wysoko wysłane siedzenie w równowadze utrzymywały, drzymał panicz jasnego włosa. — Jaw czy sen?... «Godzina zimy!» krzyknąłem. — Ildefonsik ocknął się i wielkiemi na mnie wejrzał oczyma i nie czekając, ażeby Jasio bieguny zatrzymał, zeskoczył z bryki i objął mnie swojemi ramiony i wołał: Godzina zimy! Godzina zimy!»

W Radomiu, w zajezdnym domu pana Ko-

ziubskiego dwa łóżka stały do siebie przysunione, na jednym leżał z lulką w ustach mężczyzna czarnego zarostu, krótkiéj miary, dobréj karmy; dziobaty, ze spojrzeniem przyjaznem; — na drugiém łóżku siedział kołdrą osłoniony Ildefonsik i o dziesiątéj z wieczora tak prawić począł:

— Nie wiem, czy skutkiem tego, że w szkołach uczyć się nie chciałem, lubli też z przyczyny słabego w głowiźnie organizmu, dosyć, że jak ci wiadomo, rozum mój długo zostawał w małoletności. — Nie tak sądziła najdroższa matka moja; — nie tak pochlebiający mi opiekun, który, Panie świeć nad duszą jego, prędkiego pokwitowania z nienajosobliwszéj rzetelności gorąco pragnął, — bo gdym w trzeciéj klasie dwa lata przedukwiał, mama wyrzekła, że wystarczy tych nauk na obywatela, — a opiekun nadto radził, bym się wcześnie ożenił.

— Zapewne, aby na twoim pogrzebie powiedzieć można: «Urodził się, ożenili go i umarł».

— Być może, że jemu szło o takową dla mnie sławę. — A więc za ich wspólną zgodą, licząc lat 20 niespełna, usamowolniony zostałem. Oddano mi dwie wioski bez długu, obwieziono mnie w sąsiedztwie na sześć mil w około i kazano się rządzić grzecznie i w dobrym tonie. W ten sposób na świat puszczony, nic pilniejszego nie widziałem przed sobą, jak czworokonnym powozem jechać do Poznania, naśmiewać się z moich niegdyś współuczniów, co się jeszcze nad łaciną i nad nu-

dnemi matematyki twierdzeniami, wnioskami, zagadnieniami męczyli, — śmiało zajrzéć w oczy ganiących mnie niedawno nauczycieli, — zrobić przegląd młodych panien, pokazać się szumnie, ostro, chwacko, — to było głosem méj dziecinnéj duszy. I udało się niezgorzéj: — gimnazyaści z książkami pod pachą zazdrościli, — starsi raczyli się odkłonić, — dziewczęta przyznały mi dostojność miłego kawalera. — W owym to czasie byłem z ciocią moją, hrabiną, na świetnym balu u księstwa Radziwiłłów, — poznałem zimę. — Tyś na żart list napisał, jam go jako mniemany arcy-utwór na doprawdy odesłał i — byłem szczęśliwy.

— Cóż zima odpowiedziała?

— Posłuchaj, opowiem: — podług twéj rady zrobiłem girlandę z niewinności, miłości, stałości i zazdrości, — list odpisałem co do słowa, serce odmalowałem w kolorze wiśniowo-cynamonowym, na którego szczycie z własnego konceptu ponsowy płomień umieściłem, — krwią zaś z serdecznego palca podpisałem:

„Ildefons, godzina zimy.“

— Wybornie!

— Tak mi się téż zdawało; — rozumiałem, że tym listem mógłbym nie tylko serce zimy zniewolić, ale i cały ród niewieści zakochanym we mnie uczynić. — Służący pułkownika wzbraniał się nieco, lecz gdym mu kilka dukatów w garść wcisnął, — obwieś spojrzał się na złoto i przy-

rzekł, że o szaréj godzinie pannie Idzie i papier i karmelki doręczy.

— Więc były i karmelki?

— Jakżeś chciał, abym ja, co tyle lubiłem karmelki, bez karmelków list do kochanki odsyłał.

— Ciekawy jestem końca...

— I jam był ciekawy; wszakżeż nie spodziewałem się bynajmniéj, aby się stał tragi-komedyą. — Nazajutrz raniuteńko pobiegłem na Topolową ulicę i godzinę dobrą czekałem, zanim lokaj do mnie wyszedł.

— Oddałeś? — Oddałem. — I cóż? — Źle się, panie, stało, — i o mało, żem służby nie stracił. Panna Ida i list i cukierki odniosła do rodziców; jegomość straszliwie się gniewał, jejmość się śmiała, — a narzeczony panny... — Co mówisz — narzeczony!... — Tak panie, bo właśnie list pański trafił na zaręczyny panny Idy z majorem.

— Jestem zgubiony! — wrzasnąłem, posłyszawszy tak okropną wiadomość. — Do reszty mnie zaś zabił nikczemnik, gdy w końcu opowiedział, że list mój po trzykroć głośno przy wieczerzy czytali, — że pan pułkownik kazał mi oddać karmelki i oświadczyć zarazem, abym do szkół na lat kilka jeszcze powrócił. — W południe napisałem drugi list, zniósłszy się w téj mierze z Narcyzem O. — Wyzwałem na pojedynek pułkownika, majora i brata Idy, podchorążnego od ułanów.

— Przez Boga! trzech naraz zgładzić chciałeś?

— Jabym był natenczas cały świat wymordował; przez 3 dni chędożyłem pistolety, ostrzyłem miecze, lałem kule, skupowałem szpady, — zgoła moje mieszkanie zamieniło się w zbrojownią. — Na wspomnienie zdrajczyni zimy, serce się lodem ścinało, krew galopem po żyłach krążąc, to uderzała do głowy, to biła na piersi, — a moi rówiennicy wieku przy pieniącym się szampanie przysięgli, że puginałami zniewagi mojéj się pomszczą!...

— Zatrważasz mnie, Ildefonsie!...

— Nie lękaj się; przyjechała mama, rzecz się w dobroci skończyła, tylko z moimi zamówionymi świadkami i sekundantami jakieś niemiłe w gimnazyum miano rozprawy.

— Bóg łaskaw, że się nie skończyło gorzéj; — ależ dalsze twoje dzieje?...

— Moje dzieje! zupełnie podobne do wstępu! Miłość i miłość, — tylko forma przy każdym wypadku odmienna. Tu wodewil, miejsce widowiska pośród ładnéj chatki, przy śpiewach i tańcach; w polu pasterki, baranki, — wszystko znika i pozostają wspomnienia. Następnie tragedya w murach starego domu, gdzie kochanka mdleje a stare ciotki płaczą. — Niezadługo komedya: scena w mieście, — klucz od skarbca przy opiekunie, a skarb sam okienko otwiera i rączki wyciąga. — Potém drama, w któréj panna kocha mnie szalenie, ale narzeczony rodzicielski, — patrz, diabelnie mnie szablicą zamalował po twarzy. W przestanku na rozrywkę był romans chiński w trzech wielkich

tomach: — ja się czaję, zbieram wiadomości, lekko wchodzę do domu; — rodzice poważni, — ojciec brwiami nie rusza, matka głową nie kiwa a jednak grzeczni, panna ciągle patrzy w ziemię i oczu ku mnie podnieść się lęka, bo wie o tém doskonale, że ja jestem tygrys, który krwią się żywi; — nadzieje ciągle wielkie, zapas wiadomości okropny, — koniec powieści jak każden — z niczego nic — boć i z niczego pan Bóg świat stworzył. — Otóż znów opera: ojciec stary śpiewa basem, matka tenorem, ciotka jak przedęte fleciki, kochanka jak Niema z Portici, a ja ze wszystkich najcieniéj, — i na zakończenie porywają mnie diabli do piekła, — diabli przebrani w łapserdaki. manele, krymki, z wekslami w ręku. — I nagle wszystko znika, panny, wdowy, rozwódki, dramata, romanse, — i ja sam zostałem ze świętą golizną, — i wiesz, co robię? — oto na tym małym wózku, parą szkapami, wlokę się do Nimfy aż pod Sandomierz, do panny Teressy. — I to ostatnia karta moich dziejów; szkoda, żem od niéj nie zaczął.

— A to co znowu!

— Poczciwa kobiecina! worek piękny! liczy lat 30, nie mniéj ale może więcéj, rozumu poddostatkiem, kocha mnie zaś z zawiązanemi oczyma.

— Więc się żenisz?... i jakżesz się to stało?

— Braciszku! wszystko przez swaty; — odstąpiłem od posagu dziesięć od sta na moje dobrodziejki, nie żałowały gęby, — a ja pan! —

rozumiesz mnie?... pan!... Guciu!... Jutro pojedziesz zemną, proszę cię na ślub i na wszystkie następne uroczystości; — jestem najszczęśliwszy z ludzi — a teraz...

Nie dokończywszy — ziewnął — i zasnął.

PRZYGODA NIEZGORSZA [1]).

Przed kilkunastu laty jeszcze włościanin z okolic Gniezna, Poznania, a raczéj od granic Szląska aż po Noteć niczém się w rodowym charakterze od Mazurów, od Krakowianów nie różnił, chyba odmienną wymową niektórych wyrazów i pomniejszemi prowincyonalizmami. Tło serca było i jest jedno i to samo. — Ścisły spostrzegacz mógł przecież odkryć że lud wielkopolski od małopolskiego większą do szlachty miał poufałość; pochodziło to ztąd zapewne, że Wielkopolanie od najdawniejszych

---

[1]) Treść główna Przygody Niezgorszéj jest przez wielu za własne zdarzenie opowiadana; zarzut jednakże: *„za panią matką pacierz“* mnie dotyczyć nie może, ponieważ rzeczywiście zmuszony byłem godzin 12 oberka na skrzypicy wyrzynać; a jeżeli się to innym przytrafiło, udowadnia tylko, że nie ja jeden tylko oberka wyrzynać umiem i że

czasów nigdy ani na chwilę poddaństwa nie znali, to jest nigdy własnością szlachty nie byli. Dzisiaj wskutek zniesienia pańszczyzny oczynszowany gospodarz owym dawniejszym chłopem być przestał; jego uczucie jakoby siłą elektryczną przedzierzgnęło się w świat nowy, — karczemne, wódczane zabawy mniéj więcéj są już obcemi dla tych szczęśliwych ludzi. — Ale ja mówię o czasach dawniejszych i składam dowód owej dawniejszéj Wielkopolanów poufałości.

Panna Aspazya czy Hortensya, — już dobrze nie pamiętam, która z łaskawych, — raczyła odemnie w sposób pośredni ale wyraźny zażądać, iżbym był bezzawodnie w ostatni wtorek na reducie w Szamotułach. Przyrzekłem lekkomyślnie, zapominając, żem o mil 20 od Szamotuł na niedzielę przedwtorkową zamówiony na piknik, gdzie urocza czarnobrewa dziewica moją Krakowianką być miała.

Należało więc i blondynce i brunetce słowa dotrzymać; należało być i na pikniku i na reducie. Rączości kawalerskiéj czwórki zaufałem, na nieprzewidziane przeszkody bynajmniéj nie licząc.

---

nie jedno pijane chłopskie wesele o grajka w kłopocie było. A rzekłby kto, że dawne dzieje odgrzewam, z pokorą odpowiem: „Przepraszam, ale gdy obecnie tak mało o chłopkach naszych piszą, na zbyt wielki gniew pański z moją skromną ramotką nie zasługuję, boć i przypomnienie znanych rzeczy miłém być winno, kiedy przedmiot dla niejednego serca jest drogi.“

Ostatnie trzy dni zapustu zbliżyły się; po sobocie zawitała niedziela przedpopielcowa, ów dzień, otwierający pożądany wir tańców. Minęła niedziela, piknik się ukończył a lubo serce moje u czarnobrewéj dziewicy zostało, nie zapomniałem przecież o Szamotułach. — W poniedziałek późno z południa siadam do koczyka i zapewniony przez dziarskiego Jasia, że nazajutrz przed wieczorem w Szamotułach staniemy, słodkim ubiegłéj chwili marzeniom oddaję się i błądzę myślami i przywołuję na pamięć każde słowo Krakowianki i złorzeczę Szamotułom i jadę i jadę i anim nie spostrzegł, żeśmy pięć mil ujechali. Jasio konie zatrzymał, Edwin koczyk otworzył. — «Panie, potrzeba popaść,» — ozwał się Jasio.

— Dobrze — odrzekłem, — tylko niedługo.

— Będziemy, panie, na czas w Szamotułach.

Ogromna karczma wrzała krzykiem pijanych parobków; — na skrzypcach jakoby z podziemia obertas słyszeć się dawał, a śpiewki i śmiechy uzupełniały weselną zabawę. W dostatnim płaszczu wtoczyłem się do izby. Kilku sędziwych chłopów skłoniło mi się, młodsi śmiało w oczy spojrzeli i krzykali i hulali. — Niezadługo pan młody z swoją nowozaślubioną w towarzystwie drużby stawają przedemną, prosząc bym ich poczęstném nie wzgardził; — jakoż przyniesiono mi gorzałki, miodem zaprawnéj i kęs kołacza. — «Za pomyślność waszę!» — i wypróżniłem z narodowego nałogu gościnności podany mi kieliszek. — Tu nastąpiły

ukłony, chwytania za nogi, w końcu prośby, abym z panną młodą przetańczył. Nie jako zwolennik obertasów ale jako z całéj duszy przyjaciel wiejskiego ludu zdjąłem płaszcz i bez namysłu daléj w kółko. — Trzy czy cztery razy minęliśmy komin i podziękowałem méj hożéj, jak leśna jagoda czerstwéj, jak polny kwiat nadobnéj tanecznicy. Sądząc, żem się całkowicie wywiązał z obowiązku, wracam do płaszcza; aliści zastępują druchny panny młodéj żądając także tańcowania ze mną. Widzę, żem się zachaczył, — trudna rada — ale niepodobna po karczmie nogi wybijać; z uśmiechem proszę o czas do odpoczęcia, druchny jednakże ustąpić nie myślą i nie chcą i kłaniają się i po swojemu najwdzięczniéj proszą. Już miałem powtórnie pójść w tany, kiedy na moje szczęście a na większe jak się późniéj okaże, nieszczęście pijany grajek spadł ze stołu, świeczkę głową zrzucił, zagasił — i zabawa ustała. — Chyżo zapalono inną świeczkę, ale co grajka, niepodobna im było roztrzeźwić. Pan młody i drużbowie wpadli w *desperacyą*, panna młoda i druchny w osmucenie, które było zdolne i dzikiego człowieka poruszyć. Żal mi ich było serdecznie, podnoszę więc dwoma stronami i jednym szpagatem nawiązane skrzypice, otrząsam z piasku najniezgrabniejszy, jaki być może, smyczek i zarznąłem od ucha tegoż samego obertasa. «O paniczku! o jelmożny panie!» wrzasnęli z stron różnych, — «rączki jegomości ozłocimy! — a Bóg że nam zesłał szlachcica». Chłopcy

pochwytali dziewczęta i znów ogromne koło omijało komin, komorę i okna i było jak dawniéj, tylko żwawiéj bom ja trzeźwy ostro smyczkiem docierał. — Grałem ochotnie onego obertasa pół godziny z okładem; ale gdy ramię i cała ręka dalszéj posługi odmawiały, przy dłuższém pociągnięciem i mocném smyczka odbiciem zakończyłem moję dobrowolę. — Niezliczone podziękowania, gwałtowne prośby nudzić mnie zaczęły; — chcę zatém iść do stajni, by Jasio żaprzęgał, aliści pan młody chwyta za nogi i prosi na miłosierdzie Boskie, bym grał jeszcze. Cóż począć? — nie nawykły szczerym prośbom odmawiać, biorę skrzypice, stroję, jak można najwyżéj i po małej chwili znów na osiebkę [1]) zarznąłem i — rznąłem znów pół godziny. Edwin donosi, że Jasio konie założył; przestaję więc grać i ani myśląc, abym doznał przeszkody zbieram się do odjazdu, — gdy mnie na raz kilkanaście żelaznych dłoni ujęło za kołnierz i — jakoby nieusłuchane dziecko na stole gwałtem posadzony zostałem. — Tum dopiéro spostrzegł żem się wdał w ciężką bardzo sprawę. «Graj parchu! [2]) zapłaciemy a graj,» — z całéj siły krzyknął mi do ucha pan młody, — «a nie, to cię nauczymy» — i pogroził pięścią tak blizko pod moim nosem, żem

[1]) Walcowanie ku lewéj stronie zowią parobcy w Poznańskiém *na osiebkę* ma to być na odsiebkę czyli od siebie.

[2]) Rozgniewany chłop poznański nigdy inaczej szlachcica nie nazwie, tylko tym słodkim wyrazem „parchu."

zapach jego spoconéj łapy należycie poczuł. Edwin, widząc srogą krzywdę swojego pana, wybiegł do stajni i natychmiast z Jasiem powraca.

Obadwaj, orczykami uzbrojeni, robią sobie przez tłum drogę i już, już we troje dobieraliśmy się do drzwi, gdy tłum trzydziestu najmniéj chłopów, każden jak dąb, stanął przed nami. Najpobożniejszy człowiek nie zdążyłby się był przeżegnać, a Edwin i Jasio pod kominem już leżeli, a ja na stole siedziałem. Wieś była królewska, ani pana, ani rządcy, — Wójt gminy mieszkał o milę, ale gdyby i o 500 kroków, kogóż posyłać po pomoc?

Ulegając najsmutniejszemu przeznaczeniu, rznąłem jak dawniéj od ucha; moje posłuszeństwo umitygowało rozbestwionych; — przez roztwarte drzwi widziałem, że wyprzęgali konie, że żłoby owsem napełnili, że rzeczy moje znieśli do komory. Następnie spotyranym, Edwinowi i Jasiowi, dali pieczonéj gęsi i gorzałki poddostatkiem; — poczciwcy, odebrawszy odemnie znak zezwolenia, jeść i pić, a w końcu i tańczyć poczęli — a jam grał jak najęty. Już było około 9-tej rano, — żyły wystąpiły na czoło jakoby węże, oczy zczerwienione ledwie się powiekom obronić zdołały, ale rznę zawsze tęgo na odsiebie; wreszcie zachwiałem się, skrzypice z rąk wypadły. Wówczas na prośby starszych gospodarzy, gdy i miejscowy wytrzeźwiony grajek się znalazł, uwolniony zostałem od najsroższéj męczarni.

Na wsiadaniu serdecznie proszącym o przeba-

czenie wszelką darowałem urazę i Bogu za wybawienie dziękując, wyjechałem z tem postanowieniem, że przez całe życie w dni świąteczne w dni hulanek i zaślubin chłopskich mijać będę karczmy, chociażby w deszcz i śnieg i pod gołem niebem popasać przyszło.

W Szamotułach stanąłem dopiero we środę nad rankiem; złożyłem pannie Hortensyi szczere tłumaczenie, wyjawiłem rzecz całą lecz rozdąsana piękność odrzekła:

Zbyteczne są wyrazy pana, bardzośmy się dobrze bez niego bawili, — i podając rękę p. Edmundowi do ostatniego mazura, z uśmiechem dodała: — Pan zawsze z prawdą się mijasz!

Że panna Hortensya tak wyraźnie niełaskę mi swoję okazała, przestałem się dziwić, gdym kilka pań z pikniku na reducie zobaczył; — domyśliłem się bowiem, że o moich zalotach do czarnobrewéj dziewicy stugębną wieść zasiały; — ale że mi panna Hortensya nieprawdę co do mojej smutnéj przygody zadała, bardzo mnie bolało i obrażało, dlatego nie z nią ale ze skromną czarnobrewą dziewicą w rok potém ożeniłem się.

Pozostaje mi prosić czytelników, aby za śladem panny Hortensyi nie poszli, aby mi wierzyć raczyli, że istotnie przez 12 godzin oberka na nędznéj skrzypicy wyrzynać zmuszony byłem i że istotnie wielkopolscy włościanie o wiele od Mazurów zuchwalszymi są, — *nie mniej przeto ród poczciwy i na kuli ziemskiéj najukochańszy.*

O MEDYCYNIE I O LEKARZACH.

W następnym artykule przedstawię dosłownie prawdziwy obraz jednego z tych szarlatańców a raczéj bezczelnych oszustów, którzy bez żadnéj nauki leczyć ośmielają się, i przekonawszy się, jak wielu u nas ludziom zbywa nawet na ogólném wyobrażeniu o medycynie i o prawdziwych lekarzach, za rzecz właściwą uważam ciemnowidzących chociaż w zarysie objaśnić *o stanowisku medycyny; o przedmiotach, składających medycynę; o historyi medycyny; o zakresie i celu ukształcenia lekarza; o doświadczeniu w medycynie; nakoniec o stosunku lekarza do społeczności.*

Stanowisko medycyny.

Zbiór wiadomości, służących do poznawania i leczenia chorób, zowiemy sztuką lekarską czyli medycyną. Naturalną więc rzeczą, że kto się zajmuje chorobami i przyprowadzeniem do zdrowia, przedewszystkiem zdrowy stan człowieka dokładnie znać winien. Sam zaś człowiek, ów maleńki światek *(mikrokosmos)*, w swoim wewnętrznym mechanizmie zajmuje niby w miniaturze wszystko to, co się w naturze na potężną skalę odbywa; z naturą zaś, śród któréj żyje, człowiek spojony jest nierozerwanym węzłem za pomocą ziemi, po któréj stąpa, i która go żywi, powietrza, którém od-

dycha, światła, ciepła i elektryczności, bez których nie ma życia; — tak więc poznanie człowieka jest tylko szczytem i koroną nauki natury, a medycyna jedną jéj częścią.

Przeszło już dwa tysiące lat, jak medycyna zajmuje umysł ludzi; zakres jéj tak dalece się rozszerzył, że zwolna musiała się rozpadać na mnóstwo pojedynczych odnóg, aby odrębne ich badanie ułatwiało poznanie całości.

Przebiegniemy tu cały łańcuch wiadomości, składających medycynę, a którego ogniwa, ściśle ze sobą powiązane, nieraz z trudnością odgraniczyć się dają,

Przedmioty składające medycynę.

1. *Filozoficzna* czyli *ogólna nauka natury*, czasami zwana *metafizyką* lub *filozofią natury;* treścią jéj *idea życia.*

Bóg i natura, działanie i byt, czas i przestrzeń, siła i materya, idą tu pod rozwagę. Na rozważaniu tych zasadniczych pojęć zależy kierunek, w jakim późniéj uważane będą pojedyńcze zjawiska — objawy życia; te zaś dadzą się wszystkie podzielić na: mechaniczne, chemiczne i dynamiczne.

Pierwsze dwie odnoszą się do przestrzeni (a mianowicie mechaniczne do zewnętrznéj, chemiczne do wewnętrznéj), ostatnie zaś do czasu. Ztąd wynika:

2. *Fizyka*, mająca za przedmiot poznawanie własności ciał zewnętrznych: mechanicznych (wiel-

kości, kształtu, stałości, podzielności); dynamicznych: stanu skupienia, ciężkości, magnetyzmu, elektryczności, ciepła, światła, głosu.

3. *Chemia*, badająca mięszaniny ciał i wypadki ztąd powstałe. Tę dzielą jeszcze na nieorganiczną i organiczną, a tę ostatnią znowu na Phytochemią i Zoochemią czyli chemią, śledzącą w składzie roślin i ciałach zwierzęcych. Ostatnie te nauki, prawie czysto doświadczalne, badają życie w mniejszym, bliższym zakresie; w rozleglejszéj przestrzeni poznaniem jego trudni się:

4. *Kosmologia* (astronomia) i *Kosmogenia*, niegdyś w bezpośredniém zastósowaniu do sztuki lekarskiéj będące, — dziś więcéj, niż może należy, wzgardzone.

5. *Geologia i Geogenia*, bliżéj nas dotyczące.

Do tych dwóch ostatnich gałęzi należą: Atmospherologia, Hygrologia i Mineralogia; — pod temi bowiem trzema stanami: lotnym, ciekłym i stałym uważamy ziemię naszą. Na jéj powierzchni dopiero ukazuje się nieprzeliczona liczba istot, objawiających życie właściwe. Te dzielą się na dwa działy roślin i zwierząt.

6. *Phytologia* (Botanika) poznaje rośliny.

7. *Zoologia* bada życie bardziéj rozwinięte w zwierzętach.

W końcu dopiero poznanie samego człowieka, jego właściwości i różnicy od zwierząt jest treścią:

8. *Antropologii*; osobną jest jeszcze:

9. Historya naturalna człowieka, jego pokoleń (raz) i życia na ziemi.

10. *Psychologia* — duchowe życie, życie duszy człowieka rozbiera.

11. *Anatomia* ma za przedmiot wewnętrzy skład i budowę człowieka i dzieli się na:

a) *Osteologią*, naukę o kościach;
b) *Syndesmologią*, o wiązadłach;
c) *Myologią*, o muskułach;
d) *Splanchnologią*, o wnętrznościach;
e) *Angiologią*, o naczyniach;
f) *Neurologią*, o nerwach;
g) *Adenologią*, o gruczołach.

12. *Fizyologia* wszystkie zjawiska, połączone razem z właściwemi sobie dynamicznemi, uważa i jako objawienia życia tłumaczy.

Tutaj poczyna się w ściślejszém znaczeniu nauka właściwéj medycyny; ta zaś opiera się na troistym stanie, w jakim się życie objawia: zdrowia, choroby, leczenia.

Co do pierwszego występuje:

13. *Hygiena* i

14. *Dyetetyka*, stosownie do warunków i oznak zdrowia. Pierwsza jest czystrzą nauką, druga ma zarazem cel sztuki do osiągnienia. Odmiany tych szczególne są jeszcze: Makrobiotyka, Polibiotyka, Kubiotyka, Prophilaktyka i t. d.

15. *Pathologia*, nauka o chorobach, ich istocie, powstawaniu i zjawiskach im towarzyszących.

16. *Nosologia* usiłuje choroby w pewien system ułożyć, aby ich podział i poznanie ułatwić.

17. *Anatomia pathologiczna* opowiada zmiany w ciele ludzkiem, w czasie chorób zaszłe.

18. *Anamnestyka, Semiotyka, Diagnostyka, Prognostyka* uczą już to wnosić z przyczyn poprzednich o stanie teraźniejszym, już też z pewnych oznak poznawać choroby lub rozróżniać je od innych chorób i wnosić o mających nastąpić zjawiskach.

19. *Therapia*, nauka leczenia chorób, dzieli się na *ogólną* i

20. *Therapią szczególną*, opisującą sposób leczenia pojedyńczo każdéj choroby.

21. *Chirurgia*, (żadnego wspólnictwa z chirurgią filozofii nie mająca).

22. *Sztuka położnicza.*

23. *Materya medyczna*, opisująca działanie i skutki lekarstw. Z tą łączy się:

24. *Pharmacya*, zajmująca się przygotowywaniem lekarstw.

25. *Nauka formuł*, przepisywanie lekarstw w receptach.

26. *Klinika* czyli praktyka lekarska.

27. *Policya medyczna.*

28. *Medycyna sądowa.*

29. W końcu zaś *historya medycyny* i literatury medycznéj.

Oto jest mniej więcej szereg nauk, jaki w kursach uniwersyteckich w przeciągu najmniej lat 4 do 5 przy najwyższej pilności poznaje lekarz.

RYS HISTORYCZNY MEDYCYNY.

Historya téj nauki, która ze zdrowiem i chorobą człowieka w tak bliskim zostaje związku, musi każdego ukształconego mocno zajmować; historya ta okazuje nam, na jakim stopniu ukształcenia medycyna znajdowała się w każdym wieku świata i u każdego ludu; jak z rozwijaniem się ogólnych pojęć rozumu rozwijał się zakres wiadomości medycznych; jak udoskonalenie innych nauk i tu korzystnie wpływało, jak w końcu zawsze swoboda umysłu i dążenie do prawdy zbawiennie posuwały a przeciwnie jednostronność i uprzedzenie od wieków postęp jéj tamowały. Zbyteczną byłoby rzeczą silenie się nad oznaczeniem czasu, w którym powstała nauka lekarska, a może niepodobném wynalezienie tego czasu.

Zapewne każdy lud był jéj początków wynalazcą, szukając na cierpienia instynktowéj pomocy, a nieraz przypadkiem wynajdując lekarstwa. Początkowe jednakże dzieje przekazują nam równie jak w innych sztukach baśnie i mythy, które poezya ubarwiła. U Egipcyan bożek Hermes miał być wynalazcą medycyny i zarazem autorem pierwszych ksiąg o sztuce lekarskiéj. U Greków podobnież Eskulap (1263 przed Chr., jeżeli się w kalendarzu nie pomylono) nauczał boskiéj sztuki; późniéj kapłani byli pierwiastkowymi lekarzami. Chorych zgromadzono do świątyń, tam ich leczono, a opis choroby i lekarstwa, które im zdrowie

przywróciły, zapisane na tablicach zawieszono na kolumnach świątyń, jako *vota;* to są pierwsze ślady stałych obserwacyj i doświadczeń. Z téj kapłańsko-lekarskiéj szkoły, trwającéj może kilka wieków, wyszedł mąż, obdarzony nadzwyczajnym darem spostrzegania i trafnego opisywania spostrzeżeń; był to Hippokrates, właściwy założyciel Medycyny jako nauki, (456 przed Chr.). Pod jego jednakże imieniem wielu późniejszych lekarzy ogłosiło swe spostrzeżenia. Najbliżsi już następcy Hippokratesa oddalili się od jego metody prostego uważania natury i podług panujących ówcześnie systemów filozoficznych (np. Platona, Epikura) starali się Medycynę w jeden ująć system; — to dało początek dogmatycznéj sztuce lekarskiéj.

W późniejszych czasach Alexandrya była jedyną szkołą lekarzy. Tu powstał Serapion z Alexandryi (279 przed Chr.), założyciel seksty Empiryków w medycynie. Nowemi usiłowaniami nadania sztuce lekarskiéj naukowego kierunku odznaczył się Galen (160 po nar. Chr.); objaśniał on pisma Hippokratesa. W czasie wędrówki narodów i średnio-wiecznych zaburzeń w Europie mało dla medycyny zrobiono. Spalili alexandryjskie biblioteki, a Mahometanie rozszerzyli się nietylko w Azyi lecz i w części Europy.

Arabowie wprawdzie przechowali zdobycze, na polu wiedzy przez Greków poczynione, sami jednak mało co medycynę posunęli.

W VIII dopiero wieku po Chr. neapolitańscy

zakonnicy w Salerno założyli szkołę, ważny późniéj wpływ wywierającą. W XIII wieku cesarz Fryderyk II nadał téj szkole znakomite przywileje i podniósł ją do godności akademii. Wynalazek druku dał nowy popęd naukom, a zwolna medycyna przestawała być wyłączną własnością księży, czego im ponawiane nieraz zakazy papieży wzbraniać poczynały. Dotąd prawie wszyscy lekarze ślepo się pilnowali systemu Galena; mała ich bardzo liczba i to napróżno usiłowała ożywić dążenia Hippokratesa.

Paracelsus (1525 r.) odrzucił pisma nietylko Galena lecz i wszystkich swoich poprzedników, natomiast zaś utworzył z dziwném zaufaniem we własne zdanie nową teoryę, opartą częścią na chemicznych zasadach, częścią na teologicznych, astrologicznych i t. p. marzeniach. Van Helmont za przyczynę życia uważał osobnego ducha życia, którego nazwał *Archeus* — i z pomocą chemicznych spostrzeżeń nowy system zbudował.

Odkrycie obiegu krwi, przez Harvey'a (1619 roku) dokonane, zmieniło wiele wyobrażeń — lecz i tu przesadzono, a Harvey chciał nauce lekarkiéj matematyczną nieomylność wyjednać, tworząc, tak zwany *jatromatematyczny* system. *Sydenham* (1665 roku) wskrzesił dawną szkołę Empiryków i wpływu atmosfery na zdrowie ludzkie pilnie badał. *Stahl* (1707 r.) odnowił system *Helmonta*, dając rolę Archeusa duszy człowieka. Im bardziéj rozpowszechniła się sztuka lekarska, tém więcéj zna-

komitych ze wszech miar ludzi poświęcało się medycynie, a ku końcowi XVIII wieku wyobrażenia i sposoby zapatrywania się zmieniały się częściéj i szybciéj niż kiedykolwiek. Najważniejszemi jednakże były systema Browna i Broussais'go.

W tym téż czasie wzięła początek najnowsza filozofia naturalnia a światło jéj rzuciło i na medycynę wszystko rozjaśniające promienie. Wielu lekarzy zastosowało zasady téj filozofii bardzo szczęśliwie do niektórych gałęzi medycyny, szczególniéj fizyologii, w nauce samego życia; w nauce o organiźmie i jego funkcyach powstały ztąd zadziwiające i niespodziane widoki. Nawet na Pathogenią i Terapią filozofia ta wywarła w tym krótkim czasie tak zbawienny wpływ, iż zdaje się, że medycyna, jako nauka, niedługo dostąpi tego stopnia wykształcenia, jakim się cieszą inne nauki i do jakiego tylko, zważając na odwieczne nieprzebyte granice wiedzy ludzkiéj, jest zdolną.

ZAKRES I CEL UKSZTAŁCENIA LEKARZA.

Przystępując do poznawania tak rozległego drzewa wiadomości, potrzeba już dosyć być ukształconym a umysł, rozwiniony w pełnéj sile działalności, powinien być zdolnym do trafnego przyjmowania i samodzielnego rozwijania wiadomości, inaczéj cała nauka na nic się nie przyda. Oprócz języka łacińskiego, jak w Polsce, każdy lekarz, chcący w równi postępować z nauką, powinien znać ko-

niecznie przynajmniéj język francuski i niemiecki. Samych nazwisk, do których przywiązane są mniéj więcéj rozległe wyobrażenia, w wyliczonych wyżéj naukach jest kilkadziesiąt tysięcy, a wszystko tu łączy się i powiązane jest ściśle nierozerwanemi ogniwami w jeden ogromny obraz, który cały bez przerwy trzeba mieć przytomny w myśli i pamięci, aby od niéj nie doznawać zawodu w czasie potrzeby. Nie małe biblioteki zapełniono już dziełami, traktującemi o medycynie, a paraset lat życia nie wystarczyłyby jednemu człowiekowi do przeczytania wszystkiego. Ogrom ten nie zniechęcał głów porządniejszych, lecz kierował je do poświęcania się jednéj szczególnéj gałęzi; i tak: choroby oczu, choroby dzieci, syfilis, pojedyncze części chirurgii, sztuka położnicza, fizyologia, therapia, farmacya, najmniejsze nawet odrębne cząstki medycyny miały swoich specyalnych badaczy, którzy raz obraną drogą całe życie zapełnili z chwałą i z prawdziwym pożytkiem dla ludzkości. Zbytecznem więc byłoby wystawiać, jakich zdolności, jakiego poświęcenia się a nawet odwagi potrzeba, chcąc się dziś rzucić w ten mozolny labirynt nauki, aby w końcu nie raz nieoceniony, niepoznany zawód swój kończyć jedyną we własném sumieniu nagrodą, — pracowałem dla dobra ludzkości!

Na samych tu bowiem dobrych chęciach żelaznéj cierpliwości i olbrzymiéj nawet pracy nie dosyć. Medycyna oprócz *nauki* jest jeszcze *sztuką*.

Obie tu, *nauka i sztuka*, stoją do siebie w tym

stosunku, w jakim pospolicie i zewnątrz medycyny w wyższém znaczeniu się uważają. Sztuka oznacza przejście całéj sumy wiedzy w działanie (czyn). Nauka tworzy i rozkłada *ideę*, sztuka stara się ją w utworze urzeczywistnić. Sztuka nawet powinna tam gdzie nauka nie wystarcza, zastąpić ją, powinna na szczególny wypadek przepisać prawidła tam, gdzie nauka tylko ogólny wytyka kierunek postępowania. To dzieje się szczególniéj w tych przypadkach, w których rozum nie wnioskuje z pojedynczych i pewnych zasad, lecz z mnóstwa złożonych i najczęściéj zmiennych gdzie zamiast pewności często na prawdopodobieństwie przestawać zmuszony. Dlatego mistrzem sztuki jest jedynie geniusz jako najwyższy stopień samodzielnéj twórczości umysłu,— czyli harmonijnéj zgody rozumu i czynnéj wyobraźni, tworzycielki nowych idei. Przedmiotem sztuki lekarskiéj jest człowiek, żyjąca duchowa istota, któréj stan wewnętrzny nieustannie się zmienia już to od zewnętrznych już téż od wewnętrznych dowolnych lub mimowolnych wpływów. Nieskończone odmiany przedstawia indywidualność człowieka w samym stanie zdrowia, — liczniejsze jeszcze w zboczeniach od zdrowia, na który wpływ wywierają; wiek, płeć, okoliczności, otaczające chorego, usposobienie jego umysłu, i t. d. Tutaj nauka przedstawia rozumowi nie wiele pewnych i nieomylnych zasad, tém więcéj jednak za to warunkowych, wachających się, złożonych skazówek i naprowadzeń; — wtedy to twórcza sztuka z danych

wiadomych dochodzi tego, co jest ukryte, — prawdopodobieństwa zamienia w pewniki i skuteczne środki wynajduje. Sztuka lekarska więc wymaga geniuszu jak każda inna sztuka, nieraz więcéj nawet, ponieważ tu już pole nauki jest tak rozległe a zakres sztuki niezmierny. Rozum i wyobraźnia muszą tu łączyć się w zupełnéj harmonii. Co do pierwszego, lekarz powinien być filozofem,— co do drugiego prawie poetą. Podobnie jak filozof nie może poprzestawać na widzeniu rzeczy tak, jak mu się przedstawiają, ale oraz badać powinien przyczyny, dla których są takiemi. Twórcza wyobraźnia występuje tam, gdzie nauka nie wystarcza; wtedy bowiem lekarz sam sobie tworzy obraz choroby, — nowe połączenia idei, szybki plan leczenia i to nie podług kompendyi naukowych, lecz osobno na ten jeden indywidualny wypadek.

Ukształcenie lekarza spoczywa równie na nabyciu całéj wiedzy jak na wprawie sztuki. Żadna część naukowa ani nawet część nauk pomocniczych wyłączoną być nie może, jeżeli w ukształceniu lekarza nie ma się znajdować przerwa, któraby się niespodziewanie i niepowetowanie ciągle uczuć dawała. Co się tyczy wykształcenia sztuki, tu bez talentu nic zrobić nie można; kto talentu pozbawiony, przez najmozolniejszą nawet pracę nigdy dobrym lekarzem nie będzie. Geniuszu ani talentu nikt nie nabędzie, — potęgę tylko jego wzmocnić zdoła.

DOŚWIADCZENIE W MEDYCYNIE.

Dziwna rzecz, jak dotąd jeszcze fałszywe kursują wyobrażenia o doświadczeniu w medycynie, jakby nie było rzeczą jawną, że bez talentu i nauki stuletnie doświadczenie omackiem tylko na los szczęścia postępuje. Im kto więcéj widział chorób, tego doświadczeńszym zowią, nie bacząc, że oprócz prawdziwego jest fałszywe doświadczenie. Nie dosyć jest widzieć, trzeba umieć patrzeć, a nawet zręczne spostrzeganie nie stanowi jeszcze zupełnego doświadczenia. Kto nie wie, na co szczególniej i w jaki sposób ma uważać, a nad tem, co spostrzegł, myślić nie umie, ten może cały świat objechać a nie znać żadnego kraju. Pospolicie jednak tłum nazywa doświadczonym lekarzem nieraz takiego, który nie godzien nazwiska lekarza, który, nieprzysposobiony do praktyki, pozbawiony wszelkich teoretycznych wiadomości, tylko na chybi-trafi leczy choroby stósownie do ich nazwisk, przepisuje środki zaradcze, przestając na pojedyńczych symptomatach, nie wiele się troszcząc o indywidualizm choroby i chorego. Ci niedołężni Empirycy odrzucają wszelką, jak nazywają, wyrafinowaną i zbyteczną naukę; nie troszcząc się o to, co inni przed nimi zrobili, wierzą jedynie w nieomylność własnego doświadczenia; prawy medyk zaś szanuje przedewszystkiem naukę, ponieważ przekonany jest, że nie podobna, aby jeden człowiek tyle widział, co lekarze wszystkich ludów i wieków złożyli do spólnej wiedzy. Empirycy nie badają bardzo gatunku i rodzaju choroby,

dość im na jej nazwisku, a wnet przepisują środki i dają choremu lekarstwa z rozkazem zabicia choroby. W ogóle zdaje im się, że poznali chorobę, skoro zobaczyli chorego.

STOSUNEK LEKARZA do SPOŁECZNOŚCI.

Z tych któreśmy tu nadmienili, celów i działalności lekarza wynikają jego obowiązki. Człowiek każdy powierza mu to, co ma najdroższego na ziemi: zdrowie i życie. Świętość tego powołania od wieków już jest uznana. Najogólniejsze określenie obowiązków lekarza jest: «Czynić wszystko to, o czem przekonany, że do utrzymania zdrowia i życia powierzonego chorego pomocném być może, — nie przedsiębrać nic takiego, coby mu szkodliwém być mogło». Ztąd wynikają szczegółowe obowiązki medyka. Powinien starać się ciągle postępować z postępującą nauką, powinien ciągle uczyć się, badać; — wiedzieć o wszystkich usiłowaniach i odkryciach innych lekarzy. Praktyka jego sztuki powinna być własnością wszystkich, — nic nie usprawiedliwia go od niedania komu pomocy. Oprócz tego powinien zupełnie zasługiwać na zaufanie chorego swoją godnością moralną i zamilczeniem wszystkiego, coby chorego w najmniejszéj rzeczy narazić mogło na nieprzyjemności.

Wobec lekarza nikną wszystkie stanów różnice; — książę czy poddany, bogacz czy żebrak, równi są w oczach lekarza, albowiem widzi tylko człowieka

i chorobę. Medyk, pozwalający sobie imponować zewnętrznemi wyższości stosunkami chorego, nie zna własnéj godności. Lecz téż i wdzięczność chorego większą jak w innych sztukach być powinna i jest jedyną prawie w swym rodzaju względem lekarza. Nie mówimy tu o materyalném wynagrodzeniu, które się da stosować do stale ustanowionéj taksy, lecz o wdzięczności moralnéj, rzeczywistéj, taksować się nie dającéj. Tymczasem tłum lekarzy uważa na równi z handlarzami recept i leków; partacze, olejkarze i owczarze zabobonnémi środkami leczący, i oszuści i szarlatani jedno uniwersalne lekarstwo podający, cyrulicy podług starych gdzieś znalezionych recept praktykujący, — wszyscy ci na równi są uważani — a dla lekarza nikczemni głupcy o tyle tylko są wdzięcznymi, o ile go lichą zbędą zapłatą; przy tém i nieraz po większéj części da się zastosować stare przysłowie:

Accipe, cum dolor est, nam postquam poena reccesit, Andebit sanus dicere, multa dedi!

Mędrkowie, nieuki i dowcipnisie oskarżają sztukę lekarską *o niepewność*, ponieważ nie znają przyrodzonych jéj granic ani jéj zakresu — a łatwiéj jest rozprawiać i szydzić z jakiéj sztuki, jak ją poznać i uprawiać. Zapewne, że ten, który nie ma najmniejszego pojęcia ani o siłach natury ani o rodzaju i zakresie jéj działania w chorobach, który nie rozumie nawet rzeczywiście, co to jest lekarstwo i w jaki sposób działa; — ten zapewne nie potrafi poznać, czy natura sama, czy téż lekarz

chorego uleczył, oraz jaki w ogóle zachodzi stosunek środków lekarskich do choroby. Nie jeden z medyków wzniesie się w opinii publicznéj samemi przyjaznemi okolicznościami, — a skoro raz mu przyznają sławę, we wszystkich przypadkach czeka go względny sąd, przychylném kierowany uprzedzeniem.

Niechże znów innemu umrze jego chory, zwalają bez żadnéj zasady winę na lekarza, ponieważ nie łatwo ocenić tę rozmaitość przyczyn, dla których nieraz i biegłemu lekarzowi nie uda się uratować chorego od śmierci. Tak jak przeciwnie partaczowi, szarlatanowi przypisują zbyt często uleczenie chorego z téj jedynie przyczyny, że to był ostatni medyk, który się jego leczeniem zatrudniał.

O OWCACH i OWCZARZU.

Poraz trzeci ozwał się żyjący zegar na poddaszu słomianéj strzechy, w któréj się wczoraj przed straszliwą burzą na nocleg schroniłem; że zaś do téj rozgłośnéj *pobudki* dołączyło się i silne skrzydeł uderzenie, domyśliłem się, że już niezadługo pożądany dzień dla mnie zawita.

Od pierwszych lat mojéj młodości koguta nad wszystkie inne przenosiłem ptaki; — a był u mojego ojca dawny towarzysz broni, stary kawalerzysta, który nas młode pacholęta konno uczył

jeździć, — ów to weteran, którego opowiadań słuchaliśmy często z najwyższem rozognieniem a zawsze z przykładną uwagą, tak nam raz domowe ptaki określił: «Gęsi to są białe mieszczki, kaczki to są żydówki, indyki to są na zimno i na słoty niewytrzymałe szlachcianki, pawie to są ci *panicze*, których całą zaletą jest błyszcząca powierzchowność!!..»

— A koguty? zapytałem skwapliwie.

— Czy tobie podobają się koguty?

— Bardzo mi się podobają.

Stary wojak podniósł mię na swoim ręku i ze łzą w oku serdecznie ucałował i spojrzał ku niebu i z rozczuleniem wymówił: «Będzie z niego żołnierz», i byłem całą duszą żołnierzem i jestem i będę żołnierzem...

Zabeczało cielę w sąsiedniéj komorze, odezwała się krowa w poblizkiéj oborze. — *Kruczek* na podwórku zaszczekał, Wojciech, gospodarz chaty, podniósł się z posłania, zajrzał do okienka a potém do swojéj żony zaszeptał:

— «Już gwiazdy nie widać; — Małgorzato! wstawajcie! podróżny pan kazał się rychle obudzić, potrzeba naniecić ogień i krowy przydoić, aby mu dać grzanego mleka na śniadanie».

— Bóg wam zapłać, gospodarzu, ale pewno macie tylko jednę krowę; cóżby na to powiedziało cielę, gdybym mu jego śniadania uskąpił. Lubię mleko, lecz dzisiaj przez grzeczność dla cielęcia napijemy się gorzałki.

Wielmożny pan nie śpi, to pewnie ten hałaśnik pod dachem wielmożnego pana przebudził.

— Ja rad jestem, kiedy mnie kogut ze snu obudzi.

— Miałem ja tu łońskiego roku koguta, co go było słychać na milę; piękniejszego podobnom nie widział przez życie.

— I cóż się z nim stało?...

— Naparł się kowal z Glinianki i dał mi za niego siekierę; a właśnie nie miałem siekiery, bo mi ostatnią zabrał Jacek, nasz pijak gajowy.

— Tożeście zapewne w zakazanym dniu po drzewo do lasu jeździli.

— A jużci że w zakazany, bo w porębny dzień chodziłem z ekonomskiemi włosami do owczarza po jakieś tam leki na darcie, którego dostał w prawą łopatkę, tak że i ręką ruszyć nie mógł.

— Kiedy więc w dniu porębnym chodziliście za ekonomskim interesem, należało ekonomowi powiedzieć, że wam siekierę z jego winy zabrano.

— Byłem u pana ekonoma, alem nic nie wskórał; rzekł mi, że mogłem czekać do piątku, do drugiego dnia porębnego; łatwo to przy gorącem piecu kazać zaczekać do piątku; — na dworze był trzaskający mróz, w chałupie kobieta chora, dzieci uziębłe, a przecież i człek chciał mieć przy pracy gotowane jadło.

— Wyrządzono wam niesprawiedliwość; ale do jakiego to owczarza chodziliście z ekonomskiemi włosami?

— Ztąd nie będzie jak ze trzy mile; — czy wielmożny pan o naszym owczarzu nie słyszał?...

— Nie słyszałem.

— Proszę wielmożnego pana, adyć to tam ludzi zawsze u niego jakby mrowia.

— Czy on pomaga?...

— Nie wiem, jak komu ale co naszemu ekonomowi to wcale nie pomógł; a i zduny jeździli ze swoją córką, i chociaż jéj mówił, że za 20 dni będzie zdrowiuteńka, to jak była kaleką, tak jest kaleką. Jednakże musi on tam pomagać komu, boćby przecie panowie do niego nie jeździli.

— Jacyż to panowie jeżdżą do tego owczarza?...

— A panowie! karetami, koczami; dziedzice, dzierżawcy, ba nawet i księża; i z Warszawy przyjeżdża bardzo wiele starszyzny, het wszyscy jadą.

— Jak to, — naumyślnie do tego owczarza?

— A juźci że naumyślnie.

— Mówicie, że ztąd 3 mile.

— Bo i nie będzie więcéj. Do Kalonki mamy jednę milę, a z Kalonki kamiennym gościńcem dwie milki.

Podczas téj rozmowy Małgorzata nanieciła ognia. Ubierając się, postanowiłem odwiedzić tyle sławnego owczarza. Gdym wyszedł do mojego woźnicy Jędrusia, już konie były oczyszczone i właśnie drugą oś u telegi smarował.

Był to przepyszny poranek przy końcu miesiąca lipca! blady brzask jutrzenki ustępował ró-

żanym gońcom, co z każdą chwilą coraz więcéj złocistego nabierały połysku. Sklepienie nieba i całéj ziemi widnokrąg boskie dnia światło odkryło. — Na ciasném podwórku ubogiéj zagrody pług i narzędzia rolnicze budziły myśl do poczciwéj pracy.— Zewsząd szerzył się uroczy głos życia; — śpiew ptasząt, rozmowy ludzi, ryk bydła, rżenie koni, rosły w ten niewysłowiony gwar wiejski, co tak tkliwie do czystéj duszy człowieka przemawia. Chwilę sielskiéj zadumy przerwał hałaśnik z poddasza, który, poważnie krocząc z nogi na nogę, zbliżał się do stajni; miałem więc sposobność poznania głośnego rycerza i przypatrzyć się jego połyskującym się piórom, jego zawadyackiej postawie, jego czerwonemu grzebieniowi, co to tak groźnie porusza się nad zaczepném spojrzeniem zawsze do walki chętnego młodzieńca.

Domyślając się, że pan żołnierz jest jeszcze na czczo, wydmuchałem z obroku kilka garści owsa i rzuciłem przed wojackie gardło waszeci. — Spostrzegłszy gołe ziarno, krzyknął kawaler; przyskoczyły czubate kury i pstre kurczęta, przykołysały się z chlewika poważne gęsi, zjawiły się łakome kaczki i cały ród pierzasty, na który Małgorzata radośném spoglądała okiem, wspólne pożywał śniadanie. — Tymczasem cielę, przez Marysię do obory wpuszczone, czerstwemi dziąsłami zmuszało mamulę krowę do najobfitszego przypuszczania mleka; Jaśko na siwym koniu z nocnego pastwiska powrócił; nierogacizna szukała przejścia w chróścianym pło-

cie, aby najbliższy ogród warzywny nawiedzić można; a i trzy czarne owieczki stały przy wrotach podwórka, domagając się głośno, aby je na trawę puszczono.

Ten malowniczy obraz dozupełniony został małym jasnym chłopczykiem, który boso, w białéj koszulce, stanął na progu chałupy i już to witał się z Kruczkiem, stróżem zagrody, już to spoglądał na srokatego bociusia, co stojąc na czerwonéj nodze, przypatrywał się z wierzchołka starego dęba jak jego dzieci na poblizkiéj łączce za żabami chodziły.

Marzenie o szczęściu wiejskiego życia ludu naszego zniszczył ochrypły głos ekonoma, co krzyczał, aby trojgiem wychodzili na pańszczyznę. Że zaś Jędruś już konie do telegi założył, podziękowałem więc gościnnemu Wojciechowi za nocleg pożegnałem się z Małgorzatą, z Marysią, z Jaśkiem i z maleńkim Maciusiem i wskazaną mi drogą ruszyłem do owczarza lekarza. Nie był to w prawdzie wczorajszy cel mojej podróży; ale dzisiejsze opowiadanie chłopka, że do owczarza trudno się przed panami przecisnąć, że tam jak mrowia schodzi się ludzi, którzy u niego lekarskiéj szukają pomocy, powiodło i mnie dzisiaj do miejsca, w którem spodziewałem się znaléźć obfity przedmiot do napisania ramotki. — Już w Kalonce spotkałem kilka powozów warszawskich, naładowanych chorémi, nieco daléj jedzie bryczułką szlachcic o szczudłach.

— Czy pan dobrodziéj do owczarza?

— Do owczarza, panie dobrodzieju!

— Wjeżdżam w las, toczy się landara, pełna kobiet i dzieci; — pytam się służącego, który, siedząc na tłumoku, oczy z kurzu wycierał:

— Do owczarza jedziecie?...

— Do owczarza.

Głębiéj w las idą posłańcy z flaszeczkami; — mija mnie ekstrapoczta z oficerem, który miał materacykami twarz owiązaną; — i znów bryczka z dwoma paniami i znów koczyk z wywiędłym kawalerem, ani wątpić było można, że i młodzieniec do owczarza spieszy. Począłem się niecierpliwić, rychłoli zobaczę tak bardzo wziętego Eskulapa aliści wreszcie las począł swe ciemne czoło rozjaśniać i pokrótce ukazało się dojrzewającém zbożem okryte pole i tuż przy lesie widać murowany dom zajezdny a na około karety, landary i kocze, — bryki, bryczki i bryczułki, — wozy, wózki i wózeczki, a ludu rozmaitego stanu, płci i wieku — nie skłamał Wojciech, gdy mówił, jakby mrowia.

O umieszczeniu moich koni pod dachem ani myślić było można.

— Jędruś, naści złotówkę na strawne, daj koniom siana na murawie a pilnuj się, żeby kto od nas czego nie pożyczył.

— Niech się jegomość nie turbuje, już ja tu dam baczność. —

W ten sposób zapewniony przez Jędrusia, że się nie mam potrzeby turbować o bezpieczeństwo rzeczy moich, wyskoczyłem z telegi i pośród tłumu różnorodnych osób udałem się do gospody.

W obszernéj i porządnéj izbie szynkownéj ładna rudowłosa gospodyni na czele trzech zwinnych dziewcząt zatrudnioną była przy kominie nalewaniem kawy i herbaty; — zamarszczona i umorusana kucharka wałkiem tłukła wołowe mięso na pieczeń czy bifsztyk (beefsteak); — usmolony chłopak skubał przy piecu kurczęta na rożen; sam zaś gospodarz stał za szynkwasem i sprzedawał gorzałkę, zapewniając pytających się o owczarza, że pan owczarz niezadługo przyjedzie.

— Więc on tutaj nie mieszka?

— Mieszka pół mili ztąd, w lesie, ale jeno go widnąć.

— Proszę pana — ozwała się obok stojąca wiejska kobieta, — my tu już dwa dni czekamy.

— Jak to? — dwa dni czekacie? To się nie godzi, aby dozwolił chorym ludziom dwa dni czekać na siebie i narazić ich przez to na stratę czasu i pieniędzy.

Obejrzał się na mnie gospodarz, zmierzył mnie badawczym wzrokiem i uprzejmie zapytał, ażali nie raczę odpocząć w jego pokoju, który to pokój jest połączony przez szynkwas, w murze wybity, z wielką izbę szynkowną. Przyjmując zaproszenie, zażądałem szklankę kawy; — gospodarz krzyknął: — «Żono! kawy dla pana, ale zaraz!» — i podał mi krzesło i oświadczył, że pan konsyliarz niezadługo przyjedzie.

— Czy ten wasz konsyliarz jest rzeczywistym lekarzem, czy tylko *szarlatanem*?...

— Mówią *ludzie*, że pomaga.

— Pan z nim na spółkę dzierżawisz ten dom zajezdny?

— A nie! on trudni się samém tylko leczeniem.

— Dlaczegoż dozwala, aby chorzy po dwa dni na niego czekali!

— Wyjeżdżał do Siedlec i dopiero wczoraj rano powrócił.

— Mieszkając tylko o pół mili drogi i wiedząc, jak wiele ludzi na niego oczekuje, mógł przecież od wczoraj rana przyjechać...

— On miewa czasem takie chimery; ale jeno go widnąć, już dwa razy posyłałem dzisiaj po niego.

Napiwszy się kawy z cykoryą, wyszedłem przed bramę w zamiarze pomówienia z tymi ludźmi, którzy po pomoc lekarską do owczarza przybyli i nadspodziewanie spostrzegłem dotkliwą chorobą wycieńczonego wieszcza, znanego z szlachetnych uczuć i z wielkich nieszczęść swoich.

— Cóż ty tu porabiasz?... zapytałem go z drżeniem serca.

— Przyjechałem z chorym bratem moim; obadwaj szukamy u owczarza pomocy, któréj nie znaleźliśmy u doktorów.

— Gdzież jest twój brat?...

— Leży w łożku pod 2 numerem.

— Czy pozwoli się odwiedzić?...

— Owszem, będzie mu przyjemno.

Dwie godziny spędziłem pod 2 numerem; brat poety opowiadał mi, że już przed 4-ma tygodniami był u owczarza, że on odgadł jego chorobę najzupełniéj, że mu *nieco* pomógł.

— Biedna to pomoc, — pomyślałem w duchu — kiedy tak nędznie wyglądasz. — Jakiż to człowiek ten owczarz? czy on udaje nieumiejętnego, czy istotnie posiada jaką naukę?

— Żadnéj nauki; jest to po prostu owczarek bez najmniejszego ukształcenia w mowie i w całém swojém obejściu.

— Jakżeż on mógł odgadnąć twoję chorobę i jakżeż mógł wpłynąć na polepszenie twojego zdrowia?

Chory ruszył ramionami i po chwili milczenia odpowiedział:

— Poznał chorobę i pomógł mi cokolwiek. — Mówił to do mnie człowiek bardzo rozsądny, ale człowiek w kwiecie wieku najboleśniejszą dotknięty chorobą, a więc pod wpływem rozpaczy i nadziei, człowiek, dla którego wiara w nadnaturalność stawała się ulgą moralną a więc i chwilowo fizyczną, człowiek, któryby i we mnie pokładał wiarę lekarską, gdybym go leczyć chciał. Obydwaj bracia budzili we mnie litość· najwyższą i chętniebym największym poświęceniem się ich życie przedłużył, obadwaj bowiem do najszlachetniejszych ludzi należą. Skarga poety, że już drugi dzień na owczarza czekają, oburzyła mnie na nowo i natychmiast wyprawiłem umyślnego po-

słańca do pseudo-lekarza, ażeby przyjeżdżał niebawem, jeżeli się nie chce narazić na najdobitniejsze napomnienie.

Tymczasem rozeszła się pośród czekającego ludu wiadomość, że owczarz już wyszedł z domu, i że niezadługo nadejdzie; przyjechał jakiś opuchły jegomość, który był u owczarza w jego pomieszkaniu i zapewniał, że mówił z owczarzem, i że pan owczarz przyrzekł za godzinę przyjechać. Przyjechał pan sekretarz pana owczarza i oświadczył, że pan konsyliarz wyszedł na polowanie i skoro kilka ptaszków zabije, przyjdzie najniezawodniéj. Pan sekretarz pana owczarza odjechał do poblizkiego miasta; słyszeliśmy wystrzały po lesie więc pan owczarz daleko od nas być nie mógł; — powrócili posłańcy, donoszą, że owczarz zabił trzy ptaszki i że niezadługo nadejdzie; — gospodarz szynkarz podając gościom rachunki, zapewnił, że *tylko co nie widnąć* pana owczarza; powróciły baby z lasu, przynosząc uzbierane zioła i zaklinały się, że widziały pana owczarza; przyjechał chłopek z furką gałęzi i mówił, że pan owczarz zabił czwartego ptaszka; — jam już począł rozmyślać, czy należy mu skórkę wygarbować, jak się pokaże, gdy naraz kilkunastu zawołało ludzi: «*Idzie! idzie!*»

Zgłodniały jastrząb po najdłuższém oczekiwaniu na zdobycz nigdy się z taką szybkością nie rzuci na spostrzeżonego ptaszka; przez noc całą czychający kot nigdy z taką chciwością nie sko-

czy nad ranem, gdy się myszka z ukrycia wynurzy, z jaką szybkością skoczyli ku owczarzowi oczekujący na niego chorzy i kalecy; niczém jest radość rozpaczającéj kochanki, gdy drogi kochanek po pełnéj niebezpieczeństw wojnie nadspodziewanie przed jéj zapłakanemi pojawi się oczyma; niczém jest skwapliwość ubogiego żydka, gdy po najdłuższych świętach zdarzy się dla niego pierwsza sposobność handlu, — w porównaniu z radością, jaką okazał na widok owczarka lud, wierzący w jego lekarską potęgę.

Z przewieszoną na ramieniu strzelbą szedł wolno, niedbale i obojętném okiem spoglądając na liczne zastępy, które mu zewsząd zapobiegały drogę; ani najlżejszém skłonieniem głowy nie odpowiedział na mnogie ukłony witających go osób.

Na moje zapytanie, dlaczego tak długo polował, rzucił gniewne spojrzenie i odrzekł: «Gdzie jo tam polował». Gdy przyszedł do szynkownéj izby, oddał strzelbę uniżonemu dlań gospodarzowi; następnie obydwaj szeptali w przybocznym pokoju przez minut pięć; potém poszedł do stajni obejrzéć swojego konia; potém wypił butelkę porteru i rękawem oczyścił wąsy i usta swoje; potém przycisnął palce do nosa dla wypłoszenia bobaka; potém ziewnął i przeciągnął ramiona i ręce do góry, jakby po niewywczasie; potém odchrząknął i splunął, i przystąpił do cisnącego się tłumu, — aby w jasnowidzeniu na jawie ogłaszać łatwowier-

nym wyrocznie przyszłości, teraźniejszości i przeszłości ich zdrowia.

— Ale no gorzéj, ze mój człowiek nie powrócił jesce z miasta a jo tam pisać nie umiem.

— Jeżeli pan pozwoli, ja będę pisał.

Spojrzał się na mnie pan owczarz i odpowiedział: «A kiedy umieta pisać to piscie». — Poskoczyłem z radością po papier, pióra i atrament; udaliśmy się do gościnnego pokoju i zaczęła się komedya śmieszna ale oburzająca.

— Pozwolisz, panie konsyliarzu, że ja najpierwéj zapytam się o radę, czekam dwa dni, jestem bardzo cierpiący [1]).

Wziął moją rękę mniemany doktór i trzymając ją przed swoim nosem, nie z dłoni ale z wierzchu ręki, przymrużywszy oczy, czytał co następuje:

— Wrzody na wątrobie, kanały zaflegmione, kurc zołądka, fluks i romatyzm; przed dwoma

---

[1]) Czytelnikom téj ramotki zaręczam pod słowem uczciwości, że należę do najzdrowszych ludzi na świecie. Jem, śpię, trawię, jak tylko można najlepiéj; — żadnych, ale to co się nazywa żadnych dolegliwości nie czuję ani w boku, ani na dołyszku, ani w piersiach, ani w krzyżu. Głowa, zęby, oczy, nigdy mnie nie zabolały ani na chwilę, wyjąwszy, gdy w ciemności czołem w cegłę albo w twarde drzewo uderzę. Miewam wprawdzie około 1-széj z południa pewne mdłości żołądkowe, ale jeden talerz rosołu i dwa funty pieczonéj wołowiny są dla mnie na tę słabość doświadczoném i najskuteczniejszém lekarstwem.

laty było nadęcie kiski, dresc i zimne poty, gorzki smak w gębie i grucały strofulicne na syi. Pon się przeziębił za młodu, potrzeba było zrazu kąpać się w tatoroku z liśćmi z łopianu, okładać *krzyze i zołądek,* teraz to juz nic nie pomoze i nalezy robić to, co ja tu podyktuję.

— Ale ja miewam także szum w głowie.

— To się wie, psecie powiedziałem, ze pon miewa dresc na ciele i sum w głowie.

— Czasem puchną mi nogi i ręce tężeją.

— To się wie, z przeziębienia zawse nogi puchną.

— I sypiać nie mogę.

— Jak się kanały wycyscą z flegmy, będzies pon sypiał *kwardo* jak kamień.

— Pozwolisz pan sobie jeszcze powiedzieć, że ja przed rokiem miałem tak silne uderzenie krwi do głowy, że przez cały miesiąc nic nie widziałem i nie słyszałem.

— Nie trza mi tego powiadać, bo ja wsystko widzę i wiem i mówiłem, że strofuły są; to one się rzuciły na ocy i na usy.

— Potém przez pół roku miałem krótki oddech i czułem ból w lewém uchu tak wielki, że często wytrzymać nie mogłem.

— Naturalnie ze krótki oddech, kiedy wrzody są na wątrobie; a ze lewe ucho bolało, to pochodzi ze skrufułów zaziębionych za młodu, i jechaliście tak, ze z lewéj strony mroźny wiatr doku-

cał, jak jo powiedział; mnie nie trzeba gadać, ja wsytko wiem — niech pan pise:

1. Podbiału liścia, ślazu korzenia, bluscu z grabu, po garści dwurącznéj, — wodą miekką nalać, zeby się gotowało pod spontem (nie kwardo); 2 godziny po wygotowaniu odcedzić i pić co kwadrans po kielisku, a osobliwie przy tych napojach wziąć lebiodki ziela pół funta, macierzanki tak samo i tataraku korzenia funt 1, razem ugotować w kotle z kwaterką soli i wylać do wanny i w téj się kąpać rano i wieczór w téj saméj ogrzanéj, — jak robi uderzenie, wyjść. — Kąpiele nie gorące, po każdéj kąpieli utrzéć zywokostu na tarce, świezego, i korzenia wyciągaca tak samo, krwawniku listków, i do tego dołącyć spirytusu, oliwy, masła niesłonego i pscelnéj maści, wsystkiego po trochu i zywicy świerkowéj stopić, przecedzić *bez* durslag lub serwetkę, rozsmarowywać na chusteckach niekrochmalnych i kłaść niżéj krzyza.

— Mam ja jeszcze włosy mojéj siostry, czyliby pan nie był łaskaw obaczyć, na co choruje. — Wyjąwszy z kieszeni włosy, które przed godziną ustrzygłem Jędrusiowi, mojemu woźnicy, podałem je owczarzowi; — były to włosy miękkie, konopiaste.

Pan owczarz badawczo pomacawszy włosy i znalazłszy je miękkie jak jedwab, zaczął prawić z największą pewnością:

— To źle; ona nie miewa, jak się należy, przypadłości i po matce dostała hemoroidy, co ją

dręcą, a ze jest krwista i ma słabe nerwy z urodzenia, więc się choroba wzmaga i potrzeba rychło zaradzić, bo wam umrze dziewucha a skoda, bo musi być ładna, sak niebieskie ma ocy.

— Owszem czarne.

— To się wie, ze carne, jo tak tylko powiedzioł, ale jest psyjemna; niech jeno pon pise:

2. Podbiał, slaz, izopu łodygi, sałwia tak samo po garści i lukrecyi drzewa kawałek, cola wielkości do garka garcowego z wodą miekką pod spontem gotować godzin dwie, przecedzić i pić letnio kilka razy w dzień, jak najczęściéj; — a na noc miodu starego do sklonki mleka przegotowanego dolewać podług upodobania. — Osobliwo na każdą noc: zrost i zywokostu korzenia pół na pół pokrajać dobrze i zmięsać na wpół z tłustością wieprzową młodą niesłoną, — ugotować pod spontem a po wygotowaniu dobrze utrzeć i jak kataflazmę przykładać ciepło na deskę piersiową, to dobrze obwinąć i przez całą noc trzymać tak, aby powietze nie zachodziło, na dzień świeze i to ciągle przykładać przez miesięcy dwa. — Ta sama kataflazma moze być odgrzewana dwa razy, dodając tłustości. Trzy razy zaś dniem niechaj ta osoba pije po pół kieliska krwi, z wróbla utoconéj [1]).

---

[1]) Znam żonę zacnego urzędnika z Warszawy, któréj także ten sam owczarek wróblą krew trzy razy na dzień pijać polecił.

Owsiany kleik zaleca się.

Dieta: kwasów zadnych, pieprzu, wieprzowiny i rzeczy rozpalających nie używać, słonych rzeczy nie używać także.

Barsc i cytryny mozno. —

— Mam ja tu jeszcze wodę mojego dziadka; jest on bardzo stary i zupełnie łysy, nie mogłem więc przywieźć jego włosów, ale tam u nas powiadali; że pan konsyliarz i z wody pozna każdą chorobę.

— To mnie wsytko za jedno, cy z włosów, cy z wody, niech pan pokaze.

Podałem flaszkę z moczą lejcowego wałacha (sic).

Pan konsyliarz, przypatrzywszy się wodzie, kiwnął głową i rzekł: Starość nie radość, zwycajnie nie statkował za młodu, potrzeba przy końcu pokutować; pański dziadek[1]) ma skwardnienie wątroby, zganie i rumatyzm w krzyżu, hemoroidy i niecyste kanały a przedewszystkiém miewa cierpienie w pęcherzu, niech pon pise:

— Maruna, melisy i macierzonki, wszystkiego po scypce do kwartowego garnka w wodzie miękiéj gotować $1^1/_2$ godziny, przecedzić i pić dosyć ciepłe trzy razy dziennie — pić przez dni 15.

Osobliwo zaś: tatarakowego korzenia dwa funty, lebiudki funt 1, gotować w kotle i wlewać do wan-

[1]) O dziwy! Więc oddawna zmarły dziadunio miałby dzisiaj być kasztanowatym wałachem!???

ny, w téj kąpać się rano i w wieczór; woda ma być pod pachę, *Po każdéj kąpieli* pić gotowany jałowiec i jesce przetopić z łyzkę masła niesłonego i pół kwaterki wina węgierskiego, tém polewać, jak powiedziano i to robić przez dni dziewięć.

Potem pijawek na samem sercu postawić w okręgu talara; jak krew zupełnie ustanie po 3—4 godzinach położyć synopizmę na te miejsce, gdzie byli pijawki.

Goić śmietanką po wyjściu wody. [1])

Dieta: kwasów i wieprzowiny nie używać i nic rozpalającego.

NB. Śliwki *Adamaski*, za zelazną bramą. —

Już mi cierpliwości zabrakło i miałem mu rzucić w oczy kałamarz z atramentem, gdy bardzo otyła kobieta przecisnęła się do pokoju i z płaczem prosiła, aby jéj pan owczarz dał posłuchanie, twierdząc, że jéj jest bardzo pilno do domu.

Konsyliarz rozumiejąc, że ta kobieta jest cierpiącą, chwyta ją za rękę i roztwiera usta do ogłoszenia swego jasnowidzenia na jawie, lecz tłusta jejmość wyrywa z przelęknieniem swoję rękę i z gniewem rzecze:

— Jam nie chora, to mój brat waryat, co mu pan doktor kazał pić odgotowany żywokost ze stręczynami z bobru i z ogonem od czarnego barana i okadzać głowę trzy razy na dzień żywicą z jedliny.

---

[1]) Jako wierny historyk jasnowidzenia nie zmieniam ani składni ani wyrażeń.

— No i cus? cy robił, com jo mu kazał?

— A robilśmy wszystko, ale on jak waryował tak waryuje i wczoraj potłukł mi garnki i talerze, a pan doktor mówił, że on za 15 dni będzie zdrów.

— A któż to kazał pić? jo mówił zeby się w téj wodzie kąpał. O lo-Boga, lo-Boga! co wy tes za ludzie jesteście! A to scęście, ze nie umarł!— A cus cy? kataflazmę z brzozowego mesiku, w serwatce z tureckim pieprzem gotowaną, przykładał regularnie za usami?...

— Pan kazał mu kłaść na karku nie za uszami.

— Łzes pani! ja tego nie mówił, bo od waryacyi zawse kazę kataflazmować za usami;— to tak nie dobrze słuchata i tes wsytko nie dobrze. Naturalnie kiedy nierobita, jak *kazę*, więc tes wsytko na psa się zdało; — a bo jo to raz jednego albo dziesięciu od waryacyi ulecył? To ze jus latosiego roku trzech waryatów wylecyłem i jesce mi dziękowali; ale kazdy z nich robił jak jo przepisał i nie pił tego, w cem ja się kąpać kazał.

— Więc cóż mi pan dzisiaj poradzi?

— To samo, co pierwéj, tylko zamiast pić to trzeba się w tém kąpać.

— Jakże się kąpać, kiedy to pan kazał tylko w jednym garncu wody ugotować; czy podobna, żeby mój brat, który jest głową wyższy odemnie, wykąpał się w jednym garncu!

— Godata, godata i plecieta zawse nie do rzecy; kozołem w garncu wody ugotować i wlać do wanny z wodą pod pochy.

— Już to pan chyba się pomylił, boć przecie dyktował pan, żeby pić po kieliszku trzy razy na dzień.

— To kazałem pić ciemięzycę i burak w occie mocony; wy myślita, ze jo nie pamiętam; jo pamiętam, co przed dwudziestu laty mówiłem.

Tłusta jejmość, nie mogąc przeprzeć bezczelności owczarza i zaklinając się, że pan owczarz wprzódy ani słowa o ciemięzycy, o buraku i o occie nie mówił, prosiła go, aby jéj raz jeszcze podyktował, w czém się jéj brat ma kąpać i co pić powinien. Pan owczarz poprawił pomyłkę, ponowił zapewnienie, że waryat będzie zdrów za dni 15 i tłusta jejmość, dawszy panu konsyliarzowi złp. 5, z nadzieją uleczenia brata odjechała do domu.

— Tuż za tłustą jejmością pojawiła się matka, ciężką chorobą pięcioletniego synka swojego stroskana, i stojąc z pokorą przed jasnowidzącym na jawie, podaje włosy swojego dziecka i prosi o udzielenie rady. Jasnowidzący, wziąwszy włosy do ręki, z poważną miną wyrokuje: «Sam sobie winien, za nadto pozwalał sobie z kobietami, często tez lubił napić się, to tez skrofuły jęły tocyć ciało, zapchały się kanały a doktorskie leki najwięcéj mu zaszkodziły: źle z nim, bardzo źle, ale ja temu zaradzę — pis no.» — Chciał dyktować receptę, lecz matka zmięszana nieśmiałym odzywa się głosem:

— Ale, panie konsyliarzu, wszakżesz to dziecię pięcioletnie; nie można je obwiniać o występki, które pan wyliczałeś.

Bez tracenia przytomności jasnowidzący nieco z gniewem odzywa się: — «A poco mi pani włosy na opak podałaś? jużci tak, co innego; wsyćko wiem» — i zaczął na nowo wyliczać zatkane kanały, zburzone skrofuły i t. d., i podyktował receptę i wziął za nią trzyrublowy papierek i przyobiecał, że dziecko za dni 15 zdrowém będzie [1]).

Powyżéj opisany najbezczelniejszy szarlatanizm owczarka, w obec kilkudziesiąt osób jasno udowodniony, nie wstrzymał bynajmniej ani konsyliarza ani łatwowiernych od dalszéj komedyi. Przeciwnie coraz więcej tłoczyło się ludzi po najdziwaczniejsze recepty a odbieraniem pięcio-złotówek niezmordowany szarlatan ciągle bajał jak na mękach o jakimsiś bliżéj nie objaśnionym *fluxie*, o jakichsiś zaflegmionych kanałach, o zadawnionych skrofułach, o ukrytych kołtunach, o hemoroidach, o dreszczach, mdłościach, kurczach i o wrzodach na sercu, o motylicach wątroby, o stłuczeniu się za młodu! — co nadzwyczajne w chorych zbudzało podziwienie, że pan konsyliarz istotnie odgadł owo stłuczenie się za młodu, gdyż każdy przypomniał sobie, że mniéj więcéj uległ stłuczeniu się za młodu.

Jasnowidzący spostrzegając marsową postać cisnącego się ku niemu mężczyzny, ledwie okiem rzucił na jego rękę, z uśmiechem pewności wyrzekł:

[1]) W kilka miesięcy dowiedziałem się, że dziecko nazajutrz umarło.

— Lecyli, lecyli i nie pomogli, bo niewiedzieli, z kąd choroba. — Cy pan nie służył wojskowo?

— Służyłem, — odrzekł były kapitan od ułanów.

— No i cos — *nie zleciał* pan z konia na prawy bok?...

Kapitan aż pobladł z zadziwienia i dał *słowo honoru,* że istotnie spadł z konia i — przypomniał sobie, że rzeczywiście na prawy bok upadł...

— A widzi pon! to od tego czasu wątroba choruje i bywa dresc i w krzyżu bolenie i sum w głowie.

Tseba wziąść mrowiska z pod hojaka, co rośnie gałęziami do góry, i z prątkami od złotéj wierzbiny gotować sześć godzin pod spontem, w tém się kąpać trzy razy dniem, a co kwadrans pić po kielisku mléka z kozłowym tłuszczem; można takze bibułę smarować tłustością od kozła i przykładać na prawy bok na noc; tylko tseba, zeby kozioł był młody, rocniak, bo jak stary, to nic nie pomoze.

— I długo to robić?

— Za 19 dni będzies pan zdrów jak ryba.

Twarz kapitana zajaśniała radością, uścisnął rękę jasnowidzącego owczarza i wsunął mu złp. 40.

Za prawdę, trudno powtórzyć wszystkie brednie, które owczarek swoim pacyentom objawił, a jeszcze trudniéj wyliczyć te wszystkie najdziwaczniejsze i najpotworniejsze mięszaniny, które pod szpontem gotować i po kieliszku pijać rozkazał, a owe *kataflazma* (kataplazma), kąpiele i ma-

ści, do których składu i mleko od jałowéj krowy i ogony od czarnych kotów i mesiki brzozowe i jałowiec i czarnuszkę i wrzosy i zioła, pod płotem rosnące, i wino węgierskie i żywokost i kije grabowe i barwinek i ług z popiołu od modrzewiów i żywicę świerkową i stręczyny z bobru i korzenie przestęp i pieprz, gotowany w serwatce, i zioła, psiemi językami nazwane, — prażyć, tłuc w moździerzu, moczyć w okowicie, przesiewać przez sitko, jednoczyć, mięszać i na niekrochmalne *płatecki* smarować zalecał.

Słyszałem nie mniéj, jak młodéj mężatce odgadł jéj najskrytsze chęci, jak dzieci zapewniał o robakach, starców o braku sił żywotnich, jak kulawych przekonywał, że będą mieli proste nogi, ociemniałych, że przejrzą, głuchoniemych, że odzyskają słuch i mowę, zgoła każdego chorobę odgadł i każdemu bardzo rychłą pomoc z największą pewnością przyrzekał i zaręczał; — a jeżeli się kto ośmielił twierdzić, że na wymienioną przez niego chorobę nie cierpi, wówczas zuchwałego niedowiarka karcił słowami: «Głupstwo! powiadam, że głupstwo! abo wy wiecie, co wam brakuje; ja psecie widzę, ze mata wrzody na wątrobie, że wam mlec paciezowy psysycha, że wam kołtun lizie do bzucha i t. p.»

Jasnowidzący owczarek, który dawniéj trudnił się jedynie zażegnywaniem chorób a dzisiaj czyta z ręki cały zwierzęcy układ człowieka, umie nadto i przyszłość wywróżyć; i tak na uczyniony mu

zarzut, że umarli ci ludzie, którym przyrzekał ozdrowienie za dni 15, odpowiedział:

— Jo tego nie mógł powiedzieć, zeby oni psy zyciu zostali, bo w wasém mieście umze jesce w tym roku tsydzieści osób młodych i seść starych, a i mnie dziki wściekły zwierz pogryzie!

Znużony całodziennem jasnowidzeniem na jawie, już miał owczarek-lekarz swoję klinikę na dzień następny odłożyć, gdy zbliżył się do niego mężczyzna bardzo wysoki i nad wszelką miarę otyły.

— Panie konsyliarzu! czy nie byłbyś łaskaw przepisać mi jakiego lekarstwa przeciw zbytniéj mojéj otyłości, która przechodzi niemal w kalectwo.

— Nie wielkie rzecy; ale musę obacyć, z cego to pochodzi.

Tłuścioch podał swoję ogromną rękę, jasnowidzący popatrzał się chwilkę i zawyrokował:

— To nie żadne żarty! *serdce* może się zalać tłustością i będzie śmierć...

Tłuścioch pobladł i oczy na owczarka wytrzeszczył:

— Tseba robić, co ja kaze: naprzód będzie mi się pan kąpał regularnie trzy razy na dzień w gorącym wywarze, tak, zeby pod pachy było wywaru, i to, jak mozna, nagoręcy wytrzymać; z rana zaś, na południe i na noc zaraz po kąpieli używać, co ja tu psepise:

Wziąść garść mięty, garść skrobanego rogu od jelenia; trzy garści bzowego kwiatu, garść kuku-

rydzy i gotować to wszystko w sześciu kwartach wody, tylko nie kwardéj, pses godzin dwie pod spontem, a jak się ostudzi, psecedzić i pić po kielisku i używać tego pses 21 dni, potém obłożyć zywot *plozderkami* (plasterkami) z pscelnéj maści, a będzies mi pan dziękował.

Jasnowidzący skończył; na tłuściocha zimny pot wystąpił, zaczął drżyć jakby we febrze, szczęknął zębami, nagle chwycił się za swój brzuch ogromny i szybko wybiegł z pokoju. Rozumiejąc, że zasłabł, pospieszyłem za nim, a gdym go dogonił, stał już oparty o bryczkę i pot z czoła ocierał.

— Cóż się to panu dobrodziejowi stało?

— A łaskawy panie! ten owczarz to jest niegodziwiec, jakiego jeszcze świat nie widział; pięknego wypłatał-by mi figla! ażeby on hultaj sto lat w piekle gorzał! dobrze, że mnie paraliż ze strachu nie zaraził.

— Nie pojmuję, w czém on panu dobrodziejowi zawinił i nie rozumiem, dlaczego się pan dobrodziéj tak bardzo przestraszył.

— Ale ja pojmuję i rozumiem. Macieju daléj, daléj, kiełznaj konie, — jeżeli Boga kochasz spiesz się!

Domawiając tych wyrazów, tłuścioch wgramolił się na półtoracznią bryczkę i zaczął nanowo jasnowidzącemu złorzeczyć: «A niech cię siarczyste pioruny zatrzasną z twojém lekarstwem! A kto wie, może to jaki czarownik i dopieroby mnie wystrychnął».

— Najszanowniejszy Dobrodzieju! przez litość powiedz mi o co ci idzie?...

— A o cóż mi ma chodzić? Właśnie mi o to idzie, żeby nie chodziło.

— Krótko panu powiem:

— W przeszłym roku moja rodzona siostra, słysząc bardzo wiele od swoich przyjaciółek o cudownym owczarzu, pojechała do niego w Sandomierskie, bo on wtenczas tutaj nie mieszkał; — otóż tak samo jak i jéj przyjaciołkom odgadł co do joty, na co choruje, dlaczego choruje, kiedy zachorowała, zgoła wszystko jéj wypowiedział i przepisał jéj różne lekarstwa; — a że będąc już od pięciu lat mężatką, była jeszcze bezdzietną, więc go prosiła, aby jéj także zapisał jakie lekarstwo ku temu, iżby mogła zostać matką. — Cóż pan na to powie? tamto lekarstwo na inne choroby nie pomogło, ale to drugie pomogło najwyraźniéj, bo 9 miesięcy po powrocie powiła bliźnięta. Czy pan dasz temu wiarę? Niegodziwiec, chcąc zapewne jako czarownik żart ze mną zrobić, podyktował dla mnie słowo w słowo to samo lekarstwo, któremu moja siostra bliźnięta zawdzięcza.

— Ależ czyż pan możesz na chwilę przypuścić, żeby siostra pana skutkiem lekarstwa tego szarlatana matką została?...

— Cóż mnie pan gadasz! przecież ja to dziecię do chrztu podawałem.

— To był przypadek, że po powrocie...

— Dziękuję za taki przypadek! A kto mi może zaręczyć, że przez swoje czary mojéj męzkiéj natury nie zmieni na naturę kobiecą?

— Co się téż panu marzy po głowie!

— Marzy czy nie marzy, niech go diabli porwą z jego żartami! — Maciéj ruszaj.

Zaciął Maciej trójkę chudych koników, półtoracznia bryka z tłuściochem potoczyła się ku Lublinowi, a ja długo śmiałem się serdecznie, rozważając komiczny przestrach tłuściocha.

Gdym powrócił do zajezdnego domu, już jasnowidzący owczarek znajdował się w alkierzu gospodarskim, i pijąc herbatkę z arakiem, 600 złp., w tym dniu zebrane, z jednéj kieszeni do drugiéj przeliczał.

Na widok tak znacznéj korzyści, odniesionéj przez owczarka, serce moje gwałtownym gniewem zawrzało, bo jednocześnie stanął mi na myśli niedostatek wielu lekarzy, którzy całą młodość, lat kilkanaście krwawéj poświęcili pracy, którzy tysiące nocy spędzili bezsenne nad księgami spostrzeżeń i doświadczeń, objawionych przez osiwiałych weteranów wielkiéj nauki lekarskiéj, którzy z wyniszczeniem rodzicielskiego majątku zwiedzili szpitale główniejszych miast Europy, którzy na zbadanie i poznanie epidemicznych chorób narażali zdrowie i życie swoje.

Trudno, zaprawdę, wyraźniejsze znaleźć świadectwo nierozmyślnéj łatwowierności, jak jest udawanie się po pomoc lekarską do tak nazwanych

owczarzy, do bab zażegnujących i do tych wszystkich osób, które bez poprzedniéj nauki wyrokują o chorobach ciała naszego. Powie mi kto, że jest jasnowidzenie na jawie, którem Bóg obdarza ludzi, przez siebie wybranych.

Więc podług tego twierdzenia Bóg mądrości, Bóg sprawiedliwy! miałby sobie obrać przewrotną nieudolność owczarka za narzędzie do objawu cudów, do niesienia ulgi cierpiącéj ludzkości; pominąłby tych, którzy tę ludzkość umiłowali, którzy się poświęcili dla ludzkości, którzy codziennie zagrożeni są zarażeniem się najzjadliwszemi chorobami, którzy zawód poświęcania się, zawód lekarski na całe życie obrali! Więc Bóg ma usiłowania na drodze rozumu odpychać a niedołężne głupstwo wspierać i błogosławić?... Gdzież jest w takiém twierdzeniu zabobonu i ciemnoty chociażby cień uszanowania religii i pojęcia Boskiéj sprawiedliwości?

Więc istotna cząstka Boga, nasz rozum, jest nam nie potrzebny; więc praca w nauce jest zbyteczną; więc doświadczenie z lat tysiąca najcnotliwszych mężów niknie przed jasnowidzeniem owczarka i jemu podobnych szarlatanów.

Istotnie, nie podobna więcéj bluźnić jak utrzymując i wierząc, że ten szarlatan jest jasnowidzącym na jawie. Przypadki, że szarlatani w ogólnych; albo też nawet w szczegółowych opowieściach słabości spotkają się z mylną wyobraźnią chorego, zdarzenia, naprowadzone podstępem i przebiegło-

ścią przewrotnego człowieka, ku czemu częstokroć i pieniędzy nie szczędzi, do czego niedocieczonéj zmowy i niecnych a nieznanych fortelów używa, — zgoła wszystkie najwięcéj łudzące pozory o rzeczywistości jasnowidzenia na chwilę nie znajdą wiary w umyśle rozumnego człowieka ani też w sercu, które prawdziwą czcią Boga oddycha.

Ludzie, którzy pomijając uczonych ciągle swoję umiejętność doskonalących i cnotliwych lekarzy, biegną do pokątnych uszustów, mianowicie też do tak nazwanych owczarzy, słusznie owcami nazwani być winni.

Głupstwo zbyt często łączy się z uporem; nie wątpię, że moje wyrazy prawdy w zarysie słabej ramotki nie starczą do nawrócenia zwolenników zabobonu, niemniéj przeto czuję roskosz, żem nową znalazł sposobność objawienia publicznéj wzgardy dla służalców ciemnoty, która we wszystkich rodzajach, we wszystkich kierunkach i na każdéj drodze obnażaną być winna.

Gdym powyższą ramotkę jednemu z moich znajomych przeczytał, prosił mnie, abym dodał i jego źródłową o jasnowidzącym owczarku wiadomość, — którą też dosłownie jak najchętniéj wypisuję wraz z powiastką o Augustynku.

— «Ów sekretarz owczarza, o którym wspomniałeś, że do Garwolina przejeżdżał, jest mi bardzo dobrze znany; i on to a nie kto inny namówił

i ośmielił go do jasnowidzenia na jawie. — Rzecz się tak ma:

Gdy sławny Kwiatkowski umarł pod Kampinosem, dla łatwowiernych czuć się dawał brak nowego szarlatana; prowentowy więc pisarz u mojego krewnego w Opoczyńskiém, garbate ladaco, wierutny nygus a przytém marmurek, wpadł na koncept, iżby sąsiedniego owczarka, trudniącego się fuszerskiém naprawianiem i bluźnierczém zażegnywaniem rąk i nóg, do obszerniejszéj szarlataneryi nakłonić i w tym celu począł go przekonywać, że nie powinien się ograniczać na żywokoście i na opatrywaniu rąk i nóg, ale że może korzystać ze śmierci Kwiatkowskiego i swoję praktykę chirurgii leczeniem *wszelkich* chorób powiększyć.

Stanęła zatém pomiędzy oszustami ugoda o wspólny zysk i odtąd owczarek zaczął choroby ludzkie z wody, z włosów, a nawet i z odzieży poznawać i ziołami leczyć; garbusek zaś z początku najętą furmanką, następnie własnym już konikiem, a późniéj porządną parokonną bryczką jeździł po jarmarkach i rozpowiadał, że wraca od owczarza, który go z ciężkiéj niemocy cudem uleczył. Jak też kilka kobiet usłyszało, że jest cudowny owczarz nowy, — parowym wozem nie dognałbyś, dobrodzieju, biegnącéj na cały świat wieści o cudach owczarza. Ze wszystkich stron biegli łatwowierni na wyścigi; a wszakżeż obecnie aż z Litwy, Wołynia i Ukrainy przyjeżdżają chorzy i takich ramotek jak twoja, możnaby tysiące

o jawném oszukaństwie owczarka napisać. Dzisiaj on i jego sekretarz mają najmniéj po 20,000 złp. w gotowiźnie.

Powiem téż panu dobrodziejowi przy téj sposobności, co mi się zdarzyło słyszeć o owym sławnym Augustynku, który przed 20 laty także był cudownym lekarzem.

Mój młodszy brat, urzędując w Kaliszu, dostał zwyczajnéj febry, a że zawsze za rychło po wyleczeniu się jadał owoc i pijał mleko, więc mu się owa febra przez trzy lata ustawicznie wracała i nakoniec tak się stała uporczywą, że tamtejsi doktorzy przepowiadali mu febrę trawiącą.

Cóż się dzieje: — chłopiec w mylném przekonaniu, że nie on ale lekarze są winni jego długiéj a w końcu niebezpiecznéj febrze, porzucił doktorów i udał się do Augustynka.

Gdy przyjechał na miejsce, Augustynek był w kościele na mszy; mój brat więc z nudów chodził z kąta w kąt i słysząc, że ktoś na górze rznie sieczkę, wlazł po drabinie i zobaczył, jak jeden parobek zwyczajną trawę, z koniczyną i z najpowszechniejszemi ziołami zmieszaną, widłami przetrząsał, a drugi tę trzęsionkę rznął na sieczkę i w papierowe kładł torebki.

Spostrzegłszy jego obecność parobcy, zmusili go do natychmiastowego odwrotu. Znudzony długiém jeszcze oczekiwaniem, idzie na wieś, gdzie mnóstwo ludzi czekało na Augustynka, i tu uderzył go łajdacki wzrok jakiegoś obszarpańca, który

opowiadał, że go Augustynek z wielkiéj niemocy uleczył, na co przysłuchująca się służąca dziewczyna odrzekła:

— Ciekawam, czy téż mojéj pani pomoże, bo już trzeci rok minął, jak do doktorów jeździmy, a co się polepszy, to znów gorzéj.

— I na cóż to choruje pani starościna?... od niechcenia zapytał obszarpaniec.

— Zwyczajnie miała kołtuna a potém zaziębiła się po połogu, i jak mówili doktorzy, że pokarm wszedł jéj w obie ręce; potém zrobił jéj się wielki ból na prawym boku, a teraz ma takie *bule* na nogach, że wcale chodzić nie może.

Zaledwie dziewczyna opowiadanie skończyła, ukazał się Augustynek, z kościoła wracający, a zanim kilkadziesiąt chorych. Gdy przyszedł do izby, ofuknął się na panie i na panów, mówiąc, aby się nie cisnęli, bo on musi pierwéj biednym chłopom poradzić, którzy nie mają o czém czekać; — jakoż zaczął biedniejszym lekarstwa rozdawać. Dopiero nad wieczorem przyszła koléj na szlachtę; — przez wzgląd na znaczną słabość pani starościny pozwolono jéj najpierwéj przystąpić do Augustynka. I jakżeż wielkiém było zadziwienie mojego brata, gdy usłyszał z ust jego *słowo w słowo to samo*, co dziewczyna służąca mówiła do obszarpańca; do reszty zaś stracił wiarę, gdy Augustynek dał i dla niego tykę z takiemi samemi ziołami do picia, jakie poprzednio dał starościnie do kąpieli.

Tacy to są ci wszyscy cudowni owczarze.»

NAJDROŻSZA NA CAŁĄ LITWĘ ŚMIETANKA.

Jeden z naszych umniczych i zaszczytnie znanych literatów przed kilkunasty laty naukową obarczony pracą obojętném był na szczegóły gospodarcze, a jego służący wedle swéj woli potrzeb do życia nader skąpą i nierzetelną dostarczał mu miarą, pomimo że na miesięcznie podawanym rachunku tysiące umieszczał, to jest: kradł pana na urząd.

— Ignasiu! żebyś téż był łaskaw lepszą do kawy dawać mi śmietankę!

— A zkądże jéj wezmę? Przecież jaśnie wielmożny pan wie, że w mieście mieszkamy; — gdybyśmy to własną mieć mogli krowę.

— Ileż krowa kosztuje?

— Za dojną potrzeba najmniéj 300 złp. zapłacić.

— Oto masz 300 złp. kupże więc krowę.

Ignaś wziął 300 złp. i nazajutrz nie krowę, nie jak zazwyczaj, mleka, ale kupił śmietanki za groszy polskich 3.

— A to wcale co innego! — Więc już mamy krowę?

— Kupiłem, jaśnie wielmożny panie, piękną, graniastą krówkę; — a jakie ma wymiona, a jakie rogi! Ludzie się dziwią, żem za 300 złp. tak śliczne dostał bydlątko!

— Gdzieżeś ją umieścił.

— Właśnie chciałem jaśnie wielmożnemu panu powiedzieć, że potrzeba nająć stajenkę, ale żądają 60 złp. rocznéj z góry zapłaty.

— Masz 60 złp. byle tylko miała wygodę.

— Proszę także pana o 20 złp. na furę siana, o złp. 6 na korczyk owsa i o złp. 9 na sieczkę i słomę do ściółki.

Szacowny literat, któren lubił kawę z dobrą śmietanką, żądane 35 złp. w najlepszéj wierze oddał hultajowi na żywienie krówki.

Po upływie dni kilku Ignaś żąda od swojego pana 6 złp. na 2 korce ziemniaków, złp. 8 na buraki, brukiew i rzepę.

— A do czegoż to, kochanku?

— Oto widzi jaśnie wielmożny pan, należy rozmaite warzywa gotować i sieczkę krowie polewać a wówczas 6 razy tyle da mleka.

— Dobrze, dobrze, Ignasiu! wprawdzie ja tylko maleńki garnuszek potrzebuję...

— Tak; ale widzi jaśnie wielmożny pan, że kiedy krowa jada buraczki i rzepę, śmietanka o wiele bywa lepszą [1]).

— Zgoda! zgoda, mój Ignasiu! kup buraczków i rzepki i brukwi i czego tylko potrzeba.

I znów hultaj 14 złp. zadławił.

---

[1]) Rzecz się ma przeciwnie; podobno dla krów karm zwiększa bardzo znacznie ilość mleka ale nie dobroć śmietanki.

Niezadługo zażądał złp. 10 na pszenne otręby i na sól. Później upomniał się o zapłatę dla kobiety, krowę dojącéj, dla parobka, któren czyni oprząt; wyłudził następnie na grzebielec, na szczotki, na drabinkę, na nowy żłób, na łańcuszek, na kubełek do wody i na rozmaite nieprzeliczone sprzęty stajenne. Jedném słowem że nie było dnia, żeby krowa czegoś nie potrzebowała, Bezczelność Ignasia najwyższego doszła stopnia, gdy twierdził, że należy dla krowy na zimę kupić węgierski koc do okrywania. Literat dał i na koc złp. 30, nie licząc, że w niespełna miesiącu owa śmietanka już przeszło 500 złp. kosztuje.

Zdarzyło się, że ktoś z gości śmietankę pochwalił i zarazem krówkę zobaczyć pragnął. — Ignaś zdrętwiał, ale się na prędce ocknął — i pobiegł po krówkę. Ciekawi stali u okna pół godziny; — Ignaś powraca z doniesieniem, że parobek, krówkę oprzątający, klucz od stajenki zagubił. Śmiałém kłamstwem hultaj z niebezpieczeństwa na on raz wypłynął; — ale przestraszony tym wypadkiem, zwłaszcza, że pan jego już poprzednio chęć poznania prześlicznej krówki był zdradzał, postanowił złemu stanowczo zaradzić. Jakoż na zajutrz doniósł że krowa zachorowała. Przez 3 dni płacił oszukiwany literat dla weterynarza po złp. 5, do apteki na lekarstwa wydał także kilkanaście złp. a przecież nielitośna śmierć ubłagać się nie dała i krówka wskutek zapalenia śledziony z pośród żyjących bydlątek wymazaną została.

Każden z prostodusznych myśli, że się niecne hultaja obławy skończyły. — Otoż nie! — Ignaś przy doniesieniu o tym, jak okazywał, najboleśniejszym dla niego wypadku, wśród rzewnego płaczu zażądał złp. 6 na najęcie woza do wywiezienia za miasto zaraźliwych zwłok nieboszczki; daléj złp. 4 dla mistrza za zdjęcie skóry, a dopiéro w końcu złp 50 za przebudowanie stajenki, w której zaraźliwa choroba istniała.

— Pokaż mi przynajmniéj skórę, — rzekł osmucony literat, — wspomniałeś, że tak prześliczne miała odmiany; radbym ją malarzowi opisać, iżby mi w pięknym obrazie zrobił pamiątkę, żem był właścicielem krówki, — rozumiesz mnie, Ignasiu!

— Rozumiem, jaśnie panie! ale ja tę skórę powiesiłem na płocie, żeby przeschła i proszę jaśnie wielmożnego pana, już wyraźnie jakieś z tą krową nieszczęście, bo całą skórę psy pana marszałka w drobne kawałeczki rozerwały i pożarły a nawet i rogi skradziono; — lecz jeżeli jw. pan pozwoli, opowiem malarzowi, jak ta krowa wyglądała.

W kilka tygodni potém graniasta krówka, olejną farbą na płótnie odmalowana, przypominała łatwowiernemu literatowi, że przez niespełna miesiąc kawę z dobrą pijał śmietanką.

Dopiéro w rok późniéj szanowny literat doszedł przypadkiem, że ona krówka nigdy na świecie nie żyła, «Ot rozumie pan, tak nas uczonych głupcy oszukują». Te wyrazy i dzisiaj ż ust uśmiechają-

cego się literata usłyszyć można. Ignaś się wówczas wstydzi, ale jeszcze nie postradał służby u prawdziwie chrześciańskiéj dobroci pana.

Z ŻYCIA MOJEGO DZIADKA.

ZDARZENIE W ¾ CZĘŚCIACH PRAWDZIWE

Ś. p. dziadek mój był to człowiek poczciwy, pobożny, rzetelny w słowie, gospodarny, czuły na nieszczęście i nędzę bliźniego, szczerze gościnny, i na innych cnotach nie zbywało mu bynajmniéj. W palestrze poznańskiéj przećwiczył się w prawnictwie, na sejmikach nabył wymowy, w potrzebach zaś krajowych — anno millesimo — już nie pomnę — dostał po za lewe ucho tak serdeczną krysę, że tylko skutecznéj maści węgierskiéj winien był ocalenie honorowego członka — ucha; — lecz niema tego złego, coby na dobre nie wyszło. Kiedy się zaczęły upowszechniać termometry i barometry i panowie nasi, każdéj nowości chciwi, kupowali takowe, rzekł pewnego razu dziadzio napierającemu się z towarem Niemcowi: «O daj mi tam, mucu, pokój z twojemi szkiełkami; już ja pono lepiéj wiem od ciebie o zmianie powietrza» — Bo też istotnie zwykł dziadek mawiać: «Tatar mnie swędzi, Tatar mnie łupie, Tatar mi dokucza» — pomacał się za lewe ucho i był, jakby zapisał,

deszcz odwilż, mróz, lub jak z kolei wypadło. — Wzrost dziadunia nie odznaczał się szczególniejszą wyniosłością, przeciwnie do rzędu krępych, co się nazywa, do barczystych ludzi należał; nosił na święto kontusz granatowy i ceglastego koloru żupan, na powszedni dzień papuzią kapotę, zażywał tabakę i miał przysłowie: „*Owo tedy barania głowa z pieprzem i z imbierem, mości dobrodzieju.*“ Nie wiem dlaczego z pieprzem i z imbierem, bo uważałem, że ją najczęściéj z chrzanem jadał. Ale pominąwszy i inne drobnostki, powiem raczéj, że gdy mnie ojciec mój do niego zasłał, miał już szanowny dziadek 80 lat z górą.

Skłoniwszy mu się przyzwoicie, ucałowałem rękę i list oddałem. Bez okularów pismo odczytał, otarł zwilżone oczy, wejrzał na mnie łaskawie a następnie drżącemi usty czoła się mojego dotknął.

— Pan Franciszek przysyła mi waścia do pomocy w moich kłopotach.

— Szczęśliwym się nazwę... jeżeli będę mógł dziadzi dobrodziejowi być użytecznym...

— Cóż to «nazwę?» A przecież waści już się nazywasz, boć ślubnego małżeństwa synem jesteś a prawnym wnukiem moim! Owo tedy *barania głowa z pieprzem i z imbierem, mości dobrodzieju!*

Tak mnie tym argumentem i swojém przysłowiem zmięszał, że ułożonéj przez drogę przemowy zapomniałem i stanąłem istotnie jak gdyby z baranią głową, bo i słowa odpowiedzieć nie zdolny.

— Dobry znak, że waść śmiałkiem na gębę nie jesteś. Marynusia, matka twoja, zdrowa?

— Właśnie mam polecenie ucałować...

— Dobrze, dobrze mój wnuku; pisze mi pan Franciszek, że waść napróżno kaszy nie jadał i że *owo tedy barania głowa z pieprzem i z imbierem* Łacinnik z aspana; — zobaczemy, mości dobrodzieju.

Nazajutrz już od 5 rano odpisywałem granicznik zeznania świadków i układ z XX. Cystersami z r. 1684 o sporne pastwisko po nad rzeką *(fluvium)* Nosek, począwszy od dwóch kamieni, wyżéj gruszki położonych, idąc na lewo przez Jędrzejów połanek tuż ponad płotem Tadeusza aż do studni Jana Kaspra Bzdręgi, organisty z Kobyléj-Woli. — Miał to być naturalny spadek granic.

— A cóż, zrozumiał waść?

— Gdybym zobaczył rzekę Nosek, dwa kamienie, gruszkę, Jędrzejów połanek, płot Tadeusza i studnią Kaspra Bzdręgi, możebym i zrozumiał.

— Owo tedy *barania głowa z pieprzem i z imbierem,* po cóż tu oglądać, kiedy dokument jasny jak słońce, mości dobrodzieju.

— Istotnie dziaduniu dobrodzieju, że dokument jest dobry, ale nie zaszkodziłoby, abym się na miejscu przekonał.

— Kubek w kubek gada, jak te Niemcy; — owo tedy *barania głowa z pieprzem i z imbierem,* mości dobrodzieju, napij się waść gdańskiéj wódeczki, bo trochę mokra będzie przechadzka; na

czczo mogłoby zaszkodzić; a kiedy waści życzysz sobie obejrzeć *locum quaestionis*, to i pójdziemy; — podoba mi się, że waści z gruntu rzeczy bierzesz.

Któż opisze moje podziwienie, gdy poczciwy dziadek zamiast wskazania rzeki Noska, kamieni, gruszki, płota i studni, oprowadziwszy mnie przez góry i wąwozy półmilowym lasem, od stu lat ręką ludzką nie tkniętym, ominąwszy jezioro, 20 włók ziemi ornéj, tyleż łąk i pastwisk, powiódł laską w powietrze od lewéj na prawą i rzekł: — Ot! dotąd jest nasze.

— Czyje, dziaduniu?...

— Najprzód Boskie, potém moje, a po mojéj śmierci ojca waścinego, a po jego najdłuższém życiu...

— Ale przepraszam dziadzię dobrodzieja, gdzie tedy owe znaki graniczne? — Nadto w dokumencie mowa tylko o sześciu włókach, a myśmy podobno zajęli 60 z okładem.

— Ot także uczyli aspana! kiej tam licho i czego, mości dobrodzieju! *owo tedy barania głowa*. — A toć-że asanu powiedziałem, że łacniéj wynaleźć naciosy i kopce, kiedy się *kontrowers* w przyzwoitym zakresie oznaczy.

Na samém dokończeniu przedobiednéj modlitewki, którą dziadek z wzniesionemi w górę oczami odmawiał, wbiegł zadyszony Jacek, strzelec leśny, i zanim jakoby miech kowalski nadymająca

się gęba Jackowa dowód różnicy zwierząt od ludzi złożyć była zdolna, — już dziadek mój powrócił z alkowy z serpentyną u boku i z charapnikiem w ręku.

— Mateusz! kasztankę! — Wołać mi Ponikwę! Janie! żywo po gromadę. — Dworscy na koń! — Dla pana Augusta okulbaczyć gniadego! — Żywo! żywo! Przez ukrzyżowanego Chrystusa Pana te chołysze zjeść mi spokojnie nie dadzą... Waść stoisz jak słup! Bierz gwintówkę a i kawał żeleźca nie zaszkodzi.

— Cóż to znaczy, dziaduniu?

— A patrzaj go! — *Owo tedy barania głowa z pieprzem i z imbierem* chciałem powiedzieć mości dobrodzieju! pytać się «Co to znaczy...» A toć-że to te szambelańskie pogany mój własny las rąbią, którego, Bóg widzi, ochraniam jakby na lekarstwo.

— Przy pokutnem od wielkiego żalu [1]) już dwadzieścia choic ucięli, a jest ich tam z siekierami jakby mrówia i pan szambelan z synem przyglądają się — wyjąkał Jacek.

„*Pod Twoję obronę*“ wymówił dziadzio, gdyśmy z dziedzińca ruszyli. Było nas w 13 koni; piechota pod przywództwem ekonoma Ponikwy z widłami, z siekierami i z różném ręczném na-

[1]) Żalami nazywają ludzie wiejscy dawne aryańskie cmentarze; jest to zazwyczaj pagórek z sterczącemi kamieniami, pod któremi zawsze urny z popiołem i inne pamiątki znaleźć można.

rzędziem gnała na przełaj do drogi od Smolęcina, dóbr pana szambelana.

— Tu tędy — *owo tedy barania głowa* płynęła, mości dobrodzieju, *z pieprzem i z imbierem* rzeka Nosek, — wyrzekł dziadzio, mijając sążnistym kasztanki kłusem jakiś maleńki strumyczek.

Pod *Jelenią górą* osadził dziadek kasztankę na tylnych ja ledwo żem się przez kark gniadego nie zwalił; — szczęściem koń miał mocną grzywę.

— Także owo tedy uczyli waści wierzchem jeździć! A przecież to pan Franciszek, ojciec twój 30 lat służył wojskowo, — a Odrowęże w piechocie nie bywali, mości dobrodzieju. — Trza zaczekać, aż Ponikwa się ozwie.

Nie upłynęło i pięciu pacierzy, bo i konie jeszcze nozdrzami gęstą ciskały parę, na zachodzie padł strzał daleki, po chwili i drugi.

Cieniem stuletnich dębów ponure brzegi jeziora przyjęły odgłos wystrzałów, gdy i mój dziadek z krucicy wypalił. — «Kto mi tego psu-brata uchwyci, dam mu łaskawy chleb do śmierci!» zawołał dziadzio i w mgnieniu oka wpadliśmy z poza góry na szambelańskie zastępy.

Dubium belli eventus — możeby nam się było i po skórze dostało, bo szambelańskich na stu starczyło; — ale gdy panu szambelanowi siarka tuż pod nosem małym przesunęła się obłoczkiem, ledwie zdążył wymówić «*Josépche! prenez garde*, ta poczwara strzela do ludzi» spiął srebrną ostrogą

anglizowanego i wraz z panem Józefem na wyścigi pierzchnęli.

Trzydzieści wozów z zaprzęgiem, *alterum tantum* siekier, czapek i sukman, uwieńczyło zwycięztwo; a gdy Ponikwa z piechotą nadciągnął, już pole bitwy z nieprzyjaciół oczyszczoném było.

— Czy go waści mocno obłożył?

— Będzie pamiętał, dziaduniu; ale bo téż to jędrna nahajka a pan szambelanic w nankinowém był odzieniu...

— Zląkł on się i mojego prochu — a Bóg świadkiem ołowiu nie było.

Właśnie zabieraliśmy się do powrotu, gdy z pośród gęstwiny lasu wynurzył się Jacek. Wszyscy obecni, nie wyjmując i dziadzi, przelękliśmy się istotnie na widok Jacka. Gęba rozwarta, usta zsiniałe, lica jakoby z kredy, włos najeżony, oczy kołem biegały, nieruchomy język bez najmniejszéj władzy na dolnych spoczywał zębach, nogi się pod nim trzęsły, — wreszcie upadł na kolana przed dziadzią i okropnie westchnął.

— Jacku! cóż ci się stało?... Gadajżeż, Jacuniu! A przecież ja wiem, żeś ty człek uczciwy dbały o dobro moje sługa. — Coś go nastraszyło... może mu się bies pokazał... Jacusiu, przeżegnaj się...

— Wielmożny panie! — Wielmożny panie! Boże mnie sądź — ja nie winien.

— Cóżeś takiego zrobił?

— Wielmożny panie! anim go dotknął, anim go ruszył, chyba, że go Bóg żywie ukarał za to, iż cudzego zapragnął.

— Jacusiu! *owo tedy barania głowa z pieprzem i z imbierem*, — tylko się nie lękaj; Kogo to Pan Bóg ukarał?

— A juzeć wej sombelana.

— Toćmy wiemy, że uciekł; i cóżby mu się więcéj złego zrobiło?

— Prawda, wielmożny panie, że on zawsze nasze granice nachodził, ale żeby go tak rychle Bóg skarał, tego ja się nie spodział.

— *Owo tedy barania głowa* — powiedz, Jacku, jak go to Pan Bóg skarał?...

— Wielmożny panie — proszę jegomości, jak my z panem ekonomem zabieżeli od smoleckiéj drogi, posłał mnie oto pan Ponikwa, abyśwa z Grzelą i ze Stachem od wąchockiego dołu hałas robili, — bo chociaż tam i w drzewinie przyciasno, ale na wąchocki dół najbliżéj mi było uciekać. Jeszcześmy de *Jeżowego dęba* nie zbieżeli, już pan Ponikwa z fuzyi wygarnął, a że wielmożny pan ozwał się pod Jelenią górą — także my tedy poczęli wedle rozkazu pana ekonoma krzykać — *„Trzymaj, chwytaj, nie puszczaj“* — i szliśwa naprzód ku Jeleniéj górze; — wtém — Boże odpuść — sombelan ze synem, co koń mógł wyskoczyć, gnali przez wycinki; jakże ja ich ujrzał, krzyknąłem w pełne gardło: «Hu! ha! trzymaj!» bom miarkował, że to już kuso ze sombelańskie-

mi; — a on stary jak skręci konia w bok, jak się o sosnę dmuchnie, myśleliśwa, że chyba się o nią spłaszczy. — Ale nie taką mu Bóg śmierć naznaczył, tylko się za krzyż pomacał i nuże daléj uciekać. — Myśwa też znowu krzyknęli: *„Nie daj! — łapaj!“* — on jak ślepy Mazur nie patrząc przed się, naprzód szorował, aż się koń pienił, a syn tuż za nim. — Grzela chciał mu zabiedz od wąchockiego dołu, wtém, wielki Boże! — sombelan wpadł pod jodłową gałęź — i wej, tak jakby nożem skrajała mu się głowa.

— *„In Nomine patris“* — zawołał dziadzio — «O la Boga!» — wrzasnęli chłopi.

— I gdzież! gdzie leży? — spytał się i pobladł dziadzio.

— Głowa leży przy wąchockim dole — a on pojechał kiejby jaki upiór do Smolęcina, jeno mu się syja świeciła a krew strumjeniem żygała!...

— Pewno trupa koń w pędzie uniósł, — wyrzekł, żegnając się, dziadzio. — Prowadź nas, prowadź na to miejsce.

Po drodze dziadunio często wzdychał i pacierze odmawiał; — jam milczał, dziatwa pomiędzy sobą szeptała. — Za grędzińską strugą napotkaliśmy osmuconych Grzelę i Stacha. — Zgodnie co do słowa powtórzyli to samo, co Jacek był wyznał.

Zimno się każdemu z nas zrobiło. Dochodząc do wąchockiego dołu, Jacek wyprzedził nas o kil-

kanaście kroków i pod wspaniałą jodłą uklęknął i przeżegnał się.

Z prawdziwém przerażeniem przystępuje dziadzio w to miejsce, gdzie głowa szambelana miała leżeć, — a za nim i my wszyscy posuwamy się. — Patrzymy, — aż tu rozczochrana, ryża peruka! leżała przed Jackiem.

Śmiech powszechny zastąpił miejsce przestrachu, a że to był dzień pierwszego kwietnia, dziadzio rzekł z dobrocią: *„Owo tedy barania głowa* mimowolnie, mości dobrodzieju, zrobił nam *Prima-Aprilis.*

LIST PANA JERZEGO ŁYSINY
I ZNALEZIONE PRZEZ NIEGO PISANIE

Wielmożny Mości Dobrodzieju!

Jadąc w zaprzeszłym tygodniu do Kozienic celem przyzwoitego opatrzenia się w napój czysty i tani, którym jednooki Johnas z własnego winobrania na Węgrzech świeżo piwnice swoje napełnił, dumałem sobie nad marnościami świata; bronowłoki leniwym szły krokiem, telega zwolna się tylko po głębokim posuwała piasku i już pod Majdany dojeżdżam, kiedy skwarne słońce, siekąc mię z góry, jakoby makiem po oczach sypnęło, — zaczem

w jednéj chwili wielowładny Morfeusz rozpostarł panowanie nademną czyli, wyrażając się bez pomocy bożków mitologicznych; sen ciało moje owładnął — a mówiąc zupełnie wyraźnie, usnąłem.

Zawsze w murach nad papierami ślęcząc, nie wiész, zacny panie, jakim jest sen na wolném powietrzu, który matka natura dla najmilszych dzieci swoich, dla nas wieśniaków, przesyła. Spałem smaczno — wyśmienicie; gardłowy organek cudnym brzmiał głosem, wdzięczne marzenia czucie lube tworzyły i gdy tak, panie śpię, mój stary Grzesio takze się był zdrzymał. — Ponieważ zmordowane i tępe bydlęta przystanęły, nie wiem, jak długo w tem bezgrzesznym pozostawaliśmy stanie i dopiero ognisty huk z bicza nad uszami przebudził nas obydwóch.

Grzesio krzyknął: «Ratuj! — jam wrzasnął: «Haż go ha!» śniło mi się bowiem, żem kusego w kotlinie upatrzył. Aż mi się w oczach zalśniło; szlachcic czwórką z miasteczka wyjeżdżał, gdzie spojrzysz złoto na zaprzęgach, na karocy, na kapeluszach, na kołnierzykach, na biodrach, z przodu, z tyłu — wszędzie złoto-guzy z herbami i złoto. Mimowolnie uchyliłem czapki, bo któżby się tak bogatemu nie ukłonił panu! — Gapię się tedy i dziwuję, jak to u nas jeszcze tego złota kupa, gdy Grzesio trącił mnie w kolano i wskazał na zieloną torebkę, leżącą w kolei pojazdu, który nas co dopiero był minął. — Wołam za niemi: «Stój! stój!» — ani się obejrzał — trudno sobie gardło rozedrzyć; — więc

zaglądam do onéj torebki i znalazłem: — 1. Spis rocznéj pańszczyzny, powinności, darmochów i danin z dóbr Lichoty Wielkie. 2. Pomysł do zwiększenia dochodów propinacyjnych. 3. Obrachunki z starozakonnym kupcem Moselsztein i przedugodne warunki do sprzedaży zboża z roku, da Bóg doczekać, 1842. 4. Rozpieczętowany list do kochanego Kazimierza W. w Warszawie.

Spis rocznéj pańszczyzny zatrzymuję, gdyż mi jest potrzebny do objaśnienia się, albowiem dobra Lichoty Wielkie są wystawione na konieczną sprzedaż. Pomysł do zwiększenia dochodów propinacyjnych, rzecz wielkiéj wagi, przedmiot czysto-rodowy, zachowam na właściwy użytek. Obrachunki z panem Moselsztein złożyłem panu burmistrzowi, — pisanie zaś Augusta do Kazimierza odsyłam WP. Dobrodziejowi; być może, że go w Ramotkach umieścić zechcesz.

Proszę przyjąć zapewnienie wysokiego poważania etc.

Jerzy Łysina

Pisałem w Peruce d. 26 maja 1841 r.

P. S. Donoszę téż panu Dobrodziejowi, że mówią tu u nas na wsi, jakobyś Pan nadsyłane do pism czasowych artykuły z prowincyi niechętnie przyjmował. — Zrobiłem zakład, że to jest wieść fałszywa i że z pewnością, czy to w mieście, czy w miasteczku, czy na wsi pisane byle uczciwie i celowi odpowiednie, a nie żadne brednie (nie

przymierzając do listów moich) — iż tedy WP. Dobrodziéj nietylko że wydrukować każesz ale i wdzięcznym za to będziesz. Boć i śliczną zaiste jest rzeczą, kiedy wypoczęta, jędrna, ciągłém w aktach szperaniem niespleśniała wiejska głowa palnie coś od serca. Wszakżeż my to do tych samych szkół, co i panowie chodzili, bo nawet bywało dawniéj a i dzisiaj, chociaż nie tak często się zdarzy że pisanie nasze jest pełne wdzięku i istotnéj mądrości, a jeżeliśmy mniéj zachowali wyrażeń pedagogicznych, więcéj natomiast pozostało uczucia i zdrowego rzeczy widzenia. Przy najskrzętniejszém zaś gospodarstwie na czasie wolnym do pisania nie zbywa.

Jerzy Łysina.

ZNALEZIONE PISANIE.

Kochany Kazimierzu!

Imieniem moich sąsiadów i współobywateli szczere składam podziękowanie za pochlebny sąd o naszéj okolicy, a że prawdę nad wszystko przenoszę, iżbyś nie rozumiał, że rzeczywiście popęd do nauk jest tutaj bezwyjątkowym, wedle życzenia Twojego przesyłam ci w skróceniu wierny obraz mojéj podróży, którą w posłudze literackiéj odbyłem.

Odebrawszy wezwanie wasze, nie długom rozmyślał i już nazajutrz ruszyłem. — Zły był początek. Pomimo że woźnica znaku krzyża świętego, przed końmi przy wsiadaniu zrobić nie zaniedbał, — w drugiéj, zaraz wiosce, którą j. w. Honorowicz w dożywociu trzyma, na dziurawym moście mój ulubiony drążkowy deresz tak się niezręcznie zahaczył, iż mu z trudnością usłużne chłopki nogę wydźwignąć zdołali. Niezrażony przypadkiem a wierny powołaniu, jadę — przypomniałem sobie owego organistę, któren na dobre dzwonił kazanie; wtém Jędrzéj się ozwał:

— Wielmożny panie, nasz deresz napada.

— Czy bardzo?

— Niezgorzéj.

— Zajedź do dworu, obejrzymy. — Jakoż zajechaliśmy przed pochylony ganek domu j. w. Honorowicza.

Na turkot bryczki wybiegł do mnie w jasno zielonym fraku, w niebiesko-skrochmalonéj kamizelce, z grubém obwiązaniem szyi, w nankinach, z białą chustką w ręku, — jasno-włosy modro-oki, greckiego nosa, tuszy i wzrostu w samo prawie, gospodarz domu, j. w. sędzia Honorowicz.

— «Witam, witam, niegrzecznego, niedobrego, niełaskawego na nas sąsiada!»

Na uprzejmy zarzut tłumaczę się, jak mogę, gdy usłużny a sążnisty drab w staréj liberyi płaszcz z ramion moich zerwać raczył.

Weszliśmy do pokoju, gdzie mnie na raz różno-rodne i sprzeczne uderzyły przedmioty; zastałem nie mało osób, wśród nich na stole częścią przepołowionych, częścią nietkniętych jeszcze ośm wina węgierskiego butelek, obok leżały książki, kajety i gitara. Powstali na moje przywitanie obecni: jegomość ksiądz proboszcz; pani sędzina w ogromnym czepcu a tyle w kwiaty obfitującym, iżby sobie niemi małe cielątko podjadło; chudy podsędek z żoną i córką; Pan Bębno, rosły i barczysty, na urząd zbudowany szlachcic; — jakżém się później dowiedział, przybyły z Litwy wujaszek; — pan Porto, porucznik węgierskich huzarów czupurny, z miną gęstą, z wykręconemi do góry wąsami, z pierwszego rzutu oka chwat i hulaka; pan Ponowa, burmistrz poblizkiego miasteczka, jak mi mówiono, człowiek niegdyś dobrze urodzony, niegdyś posiadacz pięknego mienia; — państwo Nierządkowscy, dziedzice dóbr Gzymsy z miłą konsolacyą: z Narcyzem, Hyacyntym, Różą, Hortensyą i małym pieszczotkiem trzynastoletnim Cyprysiem i t. d.

W takiém gronie osób na środku stali synowie j. w. Honorowicza: Anzelm i Gracyan, wyrazu twarzy wcale niegenialnego, lecz włosy wedle ostatniéj mody po za wielkie uszy spadały. Czynili popis szkolny, przyczém wyrodziła się kwestya naukowa; — dlatego po przywitaniu wynurzył j. w. gospodarz nieskończoną radość, że przybyłem w taką właśnie porę, kiedy byłem najpotrzebniejszy! Mło-

dzi Honorowicze twierdzili, że Cyrus, król Persów, zburzył Macedonią, Porto zaprzeczał, dowodząc, że Macedonia dopiero przez Anglików zbombardowaną była. Ksiądz proboszcz, który mógł bez wątpienia spór ten rozstrzygnąć, dysertacyi o poganach nie lubił i radził, aby do innego prześli przedmiotu; — ale panna Hortensya, co z całego serca radaby zwycięztwo starszego z synów j. w. Honorowicza, pana Anzelma, a upadek pana Porto widzieć, nie dozwoliła rzeczy nie dokończonéj opuścić; moje więc zjawienie się (a trzeba ci wiedzieć, mają mnie w całéj parafii za bardzo uczonego) uważając jako nader szczęśliwe, hurmem i obces żądali, abym ja sprawę tę rozsądził. — Miłosiernie spojrzał na mnie Porto. Nie wiem, zkąd mnie pustota napadła, gdym się w następne odezwał słowa:

— «Żyjący pierwiastek ludów wschodnich tak odrębną nosi farbę w wypadkach wojennych, tak istotną naprowadza myśl samoistnéj wiedzy, tak gwałtownem jest połączeniem myśli i rzeczywistości w dzisiejszém pojmowaniu, iż trudno było współczesnym a niepodobieństwem jest dla następnych źródło prawdy wyczerpnąć. To przecież z podań ustnych w nieulegającą zamienia się pewność, że pod murami Macedonii znajdowały się i wojska Persów i morskie zastępy Anglików a raczéj Szkotów, którzy pod wodzą króla Roberta Bruce w pomoc Cyrusowi przybyli».

— Bravo! bravo! — krzyknęli wszyscy, — to

mi erudycya, to jest rzecz objaśnić. — Cieszyły się panny Nierządkowskie, cieszyła się mama, cieszył się i pan Porto, przypominając panu Bębno że Szkoci, *Erlandczycy* i Anglicy zawsze jednę stanowili *nacyą*.

Ksiądz proboszcz tylko jakąś chciał czynić opozycyą co do równocześności Roberta z Cyrusem. ale go burmistrz z panem Zawissowskim na wielkie moje szczęście zagadali, krzycząc co gardła, że ksiądz proboszcz zawsze się spiera chociażby o rzecz tak jasną jak słońce.

Zaczém też podano kielichy i egzamin byłby się skończył, gdyby nie płeć piękna, która grę na gitarze i śpiew pana Anzelma słyszeć pragnęła.

Zatrzymał więc w ręku j. w. Honorowicz potężny kielich a pan Anzelm, 17-to letni młodzieniec, zarzuciwszy niebieską wstęgę przez barki, stanął w smętnéj postawie i silne uderzył akordy; — odśpiewał najtkliwszym głosem: Żale Amelii, — znane Dumanie północne o księżycu, — z Wolnego Strzelca: «Przynosim ci mirtowy kwiat,» — i Porwanie królowéj z ciemnego lochu.

Chwil kilka jak już dźwięk struny ucho pieścić przestał, a nikt z obecnych ogólnego milczenia przerwać się nie ośmielił. — Jam pierwszy wyrzekł: «Ślicznie!» a ten tylko, co był świadkiem pożegnania się wędrującéj trupy aktorów, którzy do dwóch miast wezwani na dwie części się dzielą, może sobie wyobrazić hałas, wrzask, czułość, łzy i uniesienie, jakie po mojém «Ślicznie» nastąpiły.

JW. Honorowiczowie oboje i panna Hortensya płakali głośno jakoby na najsmutniejszym pogrzebie; — wujaszek z Litwy ściskał Anzelma tak szczerze, że aż w niebogłosy krzyknął kawaler; — dziwili się i inni i gwałtowne sypali pochwały; jeden znów tylko proboszcz treść śpiewów ganić się zdawał. Ale i tu burmistrz, pan Zawissowski, a tym razem już i pan Porto i pan Nierządkowski, zagłuszyli go wyrzutami mantyctwa. Czuły to był obraz rodzicielskiego — (tutaj stryjowskiego) — szczęścia; wspaniały widok przejętych chlubą młodzieńców z ukończonéj *edukacyi*, i rozrzewniającym udział, jaki sąsiednia przyjaźń tak dobitnie na jaw wykryła.

Wniesiono parę mchem obrosłych butelek i prędzéj przy budowaniu wieży Babilońskiéj mógłbyś był za słowo uchwycić, aniżeli wśród tak pamiętnie gwarzącéj tłuszczy przyjaciół. — Lecz niesie stare przysłowie: *est modus in rebus*; — wziąłem więc do ręki gitarę, pospieszyły damy, najmiléj prosząc, bym grał i śpiewał. Jedne z tych bogiń pozostały przy mnie na straży, drugie rozbiegły się po sali do wyproszenia spokojności. — Któż kiedy sile kobiet oprzéć się zdoła? W jednéj chwili wszystko ucichło, wszystkich oczy nad roztwartemi ustami błyszczące na mnie się zwróciły; — korzystałem z téj ciszy niebawem, w następne odzywając się słowa:

«Wielce łaskawi sąsiedzi! skąpa przyroda nie obdarzyła mnie zdolnością muzyki, natomiast dała

mi pewien pociąg do nauk. O potrzebie oświaty w tak zacném gronie przemawiać byłoby zbytecznem, ale zawiadomić was o nowych pracach literackich miłym staje się dla mnie obowiązkiem. Jeden z moich dawnych szkolnych przyjaciół wykrył rękopism nader ważny, nie drukowany dotąd. Dzieło to dla historyi wielkie przyniesie korzyści, a dla literatury naszéj będzie niepoślednią ozdobą; — idzie jedynie o koszta druku. Przedpłatą dwóchset egzemplarzy wszystkiemu zadosyć się stanie. Zaszczycony zaufaniem odebrałem polecenie, abym w téj okolicy zbierał prenumeratorów; raczcie więc, panowie, oto na tym papierze (tu wyjąłem z zanadrza prospekt) podpisy swoje wyrazić, a w przeciągu trzech miesięcy każdemu z was dzieło dostawić przyrzekam!»

Po téj mowie zrobiło się cicho. — Cicho wszędzie — pomyślałem — co to będzie! co to będzie?... gdy i jeden głos nie odezwał się w otaczającém mnie kole. Wreszcie pan Zawissowski przerwał cierpkie milczenie:

— Za pozwoleniem, czegóż istotnie pan major żądasz?...

— Proszę, odrzekłem, abyś pan raczył dać dwadzieścia złotych, za co ja po upływie trzech miesięcy nadeślę mu dwa tomy dzieła historycznego, które co dopiero wymieniłem.

— Chwalebne, bardzo chwalebne przedsięwzięcia, panie dobrodzieju! lecz ciężkie to czasy. — «Ciężkie, sąsiedzie dobrodzieju!» — odzywali się

po kolei pp. Honorowicz, Nierządkowski, burmistrz, podsędek i jakoś powoli, — w zamięszaniu każden się do przybocznego wyniósł pokoju.

W tém przysunął się do mnie porucznik i z cicha zagadał: «Na Boga! co pan robisz?... takie w tym domu czyniąc odezwy, rozpędzisz gości!»

Wejrzałem przez okno; stał mój Jędrzéj z zaprzężoną bryczką, pożegnałem więc j. w. gospodarstwo, którzy mnie i nie bardzo już zatrzymywali, ukłoniłem się całemu towarzystwu i uczułem się w moim płaszczu; na mojéj bryczce, na drodze ku Rownu.

W godzinkę stanąłem w Rownie. — Przez bramę, herbami upiększoną, wjechałem na obszerny dziedziniec. Walące się gumna, wśród nich straszliwy nieporządek, przykro raziły oko; — natomiast pałac, pokryty cynkiem, z po za ogromnych filarów dumnie na stare zabudowania i chrościane stodoły spoglądać się zdawał.

Przed pałacem przyjął mnie młody Astolf Badyłło po przyjacielsku, wedle zwyczaju.

— Jak się masz, Auguście! to wielkie szczęście, żeś mnie w domu zastał, bo dziś jeszcze do Włoch miałem wyjechać.

— Do Włoch? Tak daleko! — a po co? — zapytałem, gdyśmy się w kawalerskim gabinecie Astolfa ujrzeli.

— Do Włoch! — do Italii. Zwiedzę Wiedeń, Medyolan, Wenecyą, Turyn, Florencyją, Neapol, w Rzymie przezimuję; — potém daléj na Alpy

do Szwajcaryi; przez lato zabawię u wód, pod jesień wpadnę do Paryża, zajrzę na chwilkę do Londynu i za rok przez Hamburg, Drezno, Berlin i Wrocław powrócę do Warszawy.

— Zapewnie naukową odbędziesz podróż?...

— Naukową? a niech mnie Pan Bóg broni! już dosyć tych nauk. — Nie, łaskawco! ja przeznaczam parę kroć i wyjeżdżam na to, ażeby w świecie europejskim nabrać ruchu, *turniury, elegancyi, akcentu*, gustu; — przejąć się modami, poznać wyższe towarzystwa a przedewszystkiem sposób podbijania płci słabéj. — Zobaczysz, jak po powrocie wszystkim pięknościom w Warszawie głowy zawracać będę.

Spojrzał w zwierciadło, pogłaskał wymuskane wąsy z hiszpańską i żydowską brodą i rozchwiane na ramionach włosy do utrefionego przywrócił porządku.

— Szkoda! ja rozumiałem, że zostaniesz z nami, poświęcisz się naukom, krajowemu przemysłowi i pracować będziesz wspólnie jako dobry gospodarz, obywatel... Czy to się z tą podróżą już zmienić nie może? jabym ci radził...

— Mój kochany, proszę cię, nie perswaduj mi, bo ja zaraz w złym będę humorze.

— Kiedy tak, jedź więc, lecz przed odjazdem spodziewam się, że zrobisz co przecież dobrego i na moję prośbę. — Właśnie przyjechałem do ciebie, pewny, że na wydanie historycznego dzieła, które, jak wiesz, Kazimierz wyśledził u jednego

z uzdolnionych autorów, dać zechcesz kilkaset talarów, przez co zapewnisz sobie wdzięczność naszę i powszechności. Wydatek ten żadnéj ci nie uczyni różnicy, zwłaszcza przy tak wielkich dochodach.

— Miejże litość, kochany Auguście! Prawda, wielkie dochody! — *brutto* jest do miliona, ale *netto* ledwie trzykroć. Ta administracya największą część chłonie. Takiéj sumy, jak chcesz, dać ci nie mogę. — *Parol d' honneur* jak mamę kocham! nie mogę! — Ja jestem trochę zrujnowany. Przeszły rok w Warszawie kosztował mnie nie mało; widzisz, było to pierwsze moje pole, — musiałem się pokazać; damy — o damy! Także i w karty mnie wciągnięto a przyzwoitość nie dozwalała odmówić.

— To przynajmniéj weź kilkanaście biletów...

— Kilkanaście, o nie! jeden, Gucieńku, jeden wezmę. Zresztą wasze te wszystkie pisma przy książkach salonowych to doprawdy niedobrze wyglądają, bo widzisz, *słowo honoru* w Paryżu...

Porzuciłem Astolfa i znowu z moim Jędrzejem na bryczkę. Dumania gorzkie zajmowały mój umysł i anim spostrzegł, kiedyśmy przed mury gorzelniane pana Fiksowicza zajechali.

Pan Fiksowicz jednę tylko ma myśl w swojéj głowię, to jest maszynę parową Pistoryusza. Całe swoje życie, wszystkie zasoby, wszystko co go otacza, radby na maszynę przerobić i przepędzić, byleby choć tylko jednę kwartę mieć więcéj od sąsia-

dów swoich wydatku. Bawił u stryja w Galicyi na gospodarstwie i tam to podobno odkrył tę tajemnicę, że całe szczęście ludzi na wywarach i na kotle polega.

Wielki murowany dwór, niegdyś hetmana siedlisko, zmienił na gorzelnią. Zapomniał o żonie i dzieciach, których od lat kilku w mieście nie odwiedził, nie dba na przyjaciół, sąsiadów, na świat cały; sadzi dwieście morgów ziemniaków, poprawia, ulepsza, zwiększa, odmienia aparat, i dzisiaj o mil dziesięć w około on największy ma wydatek! i najmniéj pieniędzy!

Przyjął mnie bardzo grzecznie i poprowadził do suszarni, do izby zaciernéj, do pieca, do pompy, na dwór, pod strych i do piwnic. Zmordowałem się bieganiem, rozumowaniem, słuchaniem i po zmarnowaniu długiego czasu w żaden sposób do zapisania na dzieło historyczne skłonić go nie mogłem.

Zły sam na siebie opuściłem to miejsce, z którego nic prócz wódki spodziewać się nie można. Popędzał konie Jędrzéj, odetchnąłem nieco. Już i bydło z pola gnano, gdym przed obszerny dwór pana starosty zajechał. Rad mi był szlachcic, zadowolona jejmość, że gość zawitał. Wina i wina *multum*. — Ale jak przyszło na orzech zgryźć, iżby dwadzieścia złotych z sakiewki wyciągnął, rozdąsał się jegomość na te wszystkie niepotrzebne książki, któremi wartogłowy świat zapełniają. Naprożno, wystawiałem, że wnuczęta dorastają, że im

się książeczki przydadzą; — było to, dobrodzieju, groch na ścianę rzucać.

— «A dajże mi tam aści spokój! — Mam ja inne wydatki, nie iżbym ciężko zapracowane złotówki na papiery rozpraszał. Tu trza liwerunek, trza czeladź zapłacić, a grosz jak z kamienia; u arendarza pustki, chłopi pić nie chcą, a tu płać i płać. — Walenty! daj jeno większego kielicha! Póki, mówię, tych książek nie było, i zboże jakoś lepiéj popłacało i tych chłopskich kasztanów nie tyle sadzono. I po prawdzie z książek nie uczono nas świętéj ziemi uprawiać. Ot tak, panie! zarznij, odwróć radłem i broną, porusz, sypnij sporą garścią na nowiu i Bogu się oddaj. — Ale te tam słowa płodo-ciążne — a w grosz lekkie gospodarstwa to na kaduka się zdadzą. Dawniéj żytko i pszeniczka i basta. Dlatego też jak człek mruknął i kichnął, to go o milę było słychać. A teraz sieją morwę, burak, kartofel, lucernę, koniczynę i wykę; — ot też patrz, do czego to i pan i chłop, jeżeli się razem wymówić godzi, do czego to podobni». — Tak prawił starosta i gdy piąty już napełnił kielich, żyły mu na czoło wystąpiły i ze łzami w oczach zawołał:

— «Panie Auguście! nie sil głowy! już mnie tam waści na starość nie nauczysz; ale od tak: — «Bodaj nam się dobrze działo!»

I ja już byłem po czterech ogromnych lampach, czułem ogień w mych żyłach, rzuciłem się więc w objęcia starosty i serdeczniśmy się ści-

skali, kiedy w najszczerszym zachwycie poszepnąłem mu na ucho:

«Dasz, dasz, starosto, chociaż na jeden egzemplarzyk!»

Otarł szlachcic oczy, roześmiał się i rzekł:

— Teresiu, cóż począć; trza pono dać na ten rozum dwadzieścia złotych; a niemożnaby to co utargować?...

Dzień cały zeszedł a ja ledwie ze dwóch zdobyłem prenumeratorów. Stałość i wytrwałość w dobrém przedsięwzięciu, ta myśl mnie zagrzewała.

Następnego dnia gdym po dobrém śniadaniu z domu starosty wyjechał, mój Jędrzej mi powiedział, że o nim i o koniach szczerze pamiętali i że do bryczki włożono kobiałkę z pytlowym chlebem, garnczek masła, baryłkę bigosu i flaszkę alembikówki.

Kazimierzu! był to nadmiar gościnności staroświny, było to zupełnie zbytecznem. Lecz powiedz mi szczerze, gdybyś całe Włochy, Francyą Anglią i Niemcy objechał, czy znalazłbyś takie tło serca? Są u nas wady i wielkie! — jednakże są i niezwykłe zalety! — Wady poprawić należy i można, ale pięknéj puścizny nie pozbawiajmy się z lekkomyślnością.

Wiedząc, że Jenerałowicz, dziedzic Mętnéj Woli, wesoło żyje, bo niedawno usamowolnionym został, spodziewałem się zastać u niego kilkunastu z młodzieży. Nie omyliłem się też wcale. Na dziedzińcu pod różnobarwnym namiotem postrzegłem mniej

więcéj trzydziestu mężczyzn — w kamizelkach, w koszulach z obnażonemi szyjami, z magierkami na głowie, z olbrzymiemi cybuchami w uściech, — osłaniając się nieprzejrzanym dymem, siedzieli na około wielkiego stołu.

Jużem się zgrai hartów, wyżłów, jamników, kundli i brytanów szczęśliwie opędził, jużem od namiotu o kilka tylko kroków był oddalony a jeszczem nie mógł odgadnąć, co za ważny przedmiot tak liczne zgromadzenie w milczeniu utrzymuje — i dalipan! posądziłem ich o filozoficzne dumania, kiedy na raz słyszę:

«*Attendez!* parol z damy pod waleta, dyska się odgrywa».

Zbliżyłem się ze zgrozą. Jenerałowicz podał rękę, lecz słowa nie wyrzekł; inni kiwnięciem głowy przyjęli mnie do grona swojego. Nie zadrasnę prawdy, gdy powiem, że sto z górą tysięcy było w obiegu. Właśnie gdy ryżego włosa, mocno zyzowaty, wstążeczką honorową ozdobiony, były wojsk neapolitańskich major talii dokończył, zgalonowany Edwin dał znać, że waza na stole.

— Jak się masz, Guciu!

— Jak się masz, Auguście!

— Witaj nam, nowy poniterze!

— A cóż tu pana literata do nas przywiodło?

— Emil przegrany! — a i Spirydionowi mało co z pięciu tysięcy złp. zostało.

— Wiesz co? — gdyby mnie był król nie zdradził — ale téż to djabli był kusz...

— Panie majorze, pan się ładnie wycofał; ja rozumiem, żeś i wczorajsze zrewanżował.

— Co? zrewanżował? on wygrany przynajmniéj dwadzieścia tysięcy!

Ba ba ba — co téż to mówicie, ja się zakładam o czterdzieści.

Va! idzie; ja stawiam lotkę i Wichra a ty wierzchowca!

— Dobrze! idzie!

— Nie idzie! — odrzekł major, — bo ja ani wygranéj ani przegranéj po dniu nie liczę; zresztą nie pamiętam, ilem założył.

— Guciu! po obiedzie sprobujesz i ty szczęścia.

— Uważaliście, że dwójka przez trzy talie leżała.

— Albo to i siódemka złą była?

— *Sacre bleu!* gdybym się był asa trzymał!

— Po obiedzie trzeba majora w stosika zażyć.

Major się uśmiechnął i ruszył głową na lewo i na prawo, dając znak «nie».

— Ej djable się człowiek usiedzi przy tych kartach; żeby to jak najprędzéj ś. Bartłomiej zawitał! Jakie mam pieski, panowie! w pierwszém polu a sforsuję ci najstarszego kota.

W tak miłym rozhoworze przybyliśmy do przestronnéj sali.

— «Proszę, proszę, panie Auguście! jakeś łaskaw, *prenez place*».

Zupa żółwiowa, pasztet ze zwierzyny na zimno, szynka i szpinak z jajkami, szparagi, kalafiory,

dwadzieścia kapłonów z truflami, ciasta, ananasowe galarety, konfitury i cukry; kilka tuzinów *Cabinets-Schloss Johannisberger* i tyleż szampana, przeszło w przeciągu niespełna godziny w zgłodniałe kryjówki walecznych rycerzy króla Faraona. Poczem lody, maraskino, czarna kawa, znów maraskino, — bezzwłocznie świeże fajeczki i, nie tracąc drogiego czasu — daléj pod namiot.

Pełnomocnik, dwóch ekonomów, pisarz prowentowy, gromadka rzemieślników, którzy pałac staroświecki przerabiali, potulne chłopy i dumny kucharz czekali do dwunastéj w noc na posłuchanie; lecz Edwin, prawa rączka, najmilsze oczko pańskie, kamerdyner Edwin, powiedział: «Jaśnie pan nie ma czasu» — i wszyscy się rozeszli.

Zapalono nowe świece, minęła północ, kur zapiał, błysło zaranie, dzień jak wół, słońce weszło; trzy razy przez ten czas roznoszono zakąski: wino, herbatę, francuskie i wrocławskie likwory, gdańskie, gorzkie wódeczki, w końcu po czwarty raz czarną kawę — a walka zacięta nie ustawała na chwilę.

Dziadek kościelny dzwonił na mszę ś., kiedy major ziewnął i poważnym rzekł głosem «Basta»!

Wszyscy groźnie na niego spojrzeli; on usta ironicznym uśmiechem przykrasił i jakby od niechcenia zapytał Henryka o konie, które od niego przed godziną był wygrał, czyli bez odmiany są kare.

— Możesz je sobie pan rok cały oglądać, do-

póki ci ich w Kijowie na kontraktach zdolniejsi odemnie nie odbiorą, — odrzekł z goryczą pan Henryk Modrzyński, bo przegrawszy podniesiony zawczoraj posag swéj siostry i na własny ożenek kupioną czwórkę, do żartów ochoty nie miał. A i Błażéj Hultnicki, któren wiezione na opłacenie raty Towarzystwa trzy tysiączki przepuścił, takoż zębami zgrzytał. Inni, śpiewając i gwiżdżąc sławne arye z wielkiéj opery: *„Desperacya“*, do małego lancusia, do sztosika zapraszali.

— Guciu! niechaj major prenumeruje, my nie możemy; widziałeś naszę klęskę, trudno, Auguście, i myślić o dziełach historycznych, kiedy się taką wzięło frycówkę.

Major raczył oświadczyć chęć zapisania się na jeden egzemplarz i położył przedemną dukat oberznięty; — alem jego wspaniałomyślność odsunął, zapewniając, że książki, o których mowa, wiadomości faraonowych nie zawierają bynajmniéj.

Strwoniwszy bezskutecznie niemal dzień i noc, o mojéj przegranéj nie wspomnę, w dalszą zabierałem się podróż, gdy jenerałowiczowi świeże od żyda z miasteczka nadeszły pieniążki; i kiedym z bramy wyjeżdżał, widziałem że stół pod namiotem znów obstąpiono do koła.

Ostatni był to dom w mojéj wyprawie, gdzie odezwa literacka niemiłe czyniła wrażenie, gdzie o naukowych książkach z niechęcią i odrazą słuchano. Odtąd rozpoczęły się przyjemne sąsiedztwa. U wielu, krom tyle na wsi potrzebnych pism tre-

ści agronomicznéj, napotykałem porządne biblioteczki, u innych chęć do czytania nadzwyczajną. — Sam cel zapewnienia ważnego dzieła na własność publiczną pobudzał całe rodziny i pojedyncze osoby do składania przedpłaty, a kształcenie się umysłowe stało się już dla nich potrzebą. Trudno mi wyrazić rozkoszne uczucie, jakiego doznałem, widząc to szerzące się przekonanie, że obywatel wiejski istotnie znamienite zajmuje miejsce, że się nie godzi, aby prócz zapisywania pańszczyzny nic więcéj nie znał:

Rozpowszechnia się wreszcie i u nas ta zasada, że właściciel dóbr ziemskich, wywierający wpływ na szczęście kilkudziesiąt, częstokroć i kilkuset rodzin, gdy od jego wyobraźni pada odblask na najliczniejszą część społeczeństwa, winien posiadać wiadomości wielostronne, wyższe usposobienie, zasadniczą a nie instynktową, za lada wietrzykiem zmieniać się dającą, moralną dążność i tę szlachetną godność która głównie z prawdziwéj oświaty wypływa.

Jest wprawdzie jeszcze ćma wielka, ale liczba tych ludzi, których całą zaletą, że są dobrze urodzeni, z dniem każdym szczupleje. Honorowicz, Fiskowicz, Mętna-wola, — są to już coraz rzadsze zjawiska; przebija się i u nas nowa jutrzenka nauk i wyobrażeń dziewiętnastego stulecia. — Głupota wreszcie i od nas ucieka, — niechaj sobie biegnie w machometańskie zwaliska; tam dla niéj ostatnie

uchronie, dość długo u nas gościła; — kraje chrześciańskie swoje przeznaczenie pojęły...

O mało-żem, wpadłszy w zapał, nie rozszerzył się nad tém, co tobie obcem bynajmniéj nie jest.

Przypominając miłą dla mnie obietnicę, że mnie na wsi odwiedzić raczysz, oczekuję cię z utęsknieniem jako niezmiennie życzliwy przyjaciel.

A.

8 maja 1841 r.

KONIEC TOMU CZWARTEGO.

Biblioteka UJK Kielce
UJK
0472961